

Z. WOŹNICKA — O książce, której w USA nie wydano...; G. TIMOFIEJEW — 70-lecie urodzin Gładkowa;
A. ROLLAND — Fabryki i uniwersytety w dżunglach Wietnamu; K. PAŁYŚ — „Elektrostacja” w Sierpelicach;
H. ZAWORSKA — „Wstrubowa” czytelnika w gąszcz walki klasowej; A. SZARSKI — Stara i nowa Bastylia;
R. KORN — Młodzi francuscy wioślarze; A. PASTUSZEK — Gorzki jest chleb na tulaczce;
D. GAŁAJ — Nie wszystko złoto, co się świeci; B. GOŁĘBOWSKI — „Swego nie znać!”;
T. ATKINS — Za kulami prowokacji; K. ZUKOWSKA — „Nie jesteśmy sami!”;
A. LISIECKA — Prawda o Ameryce; P. DONIEC — Wnioski dla aktywu;

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

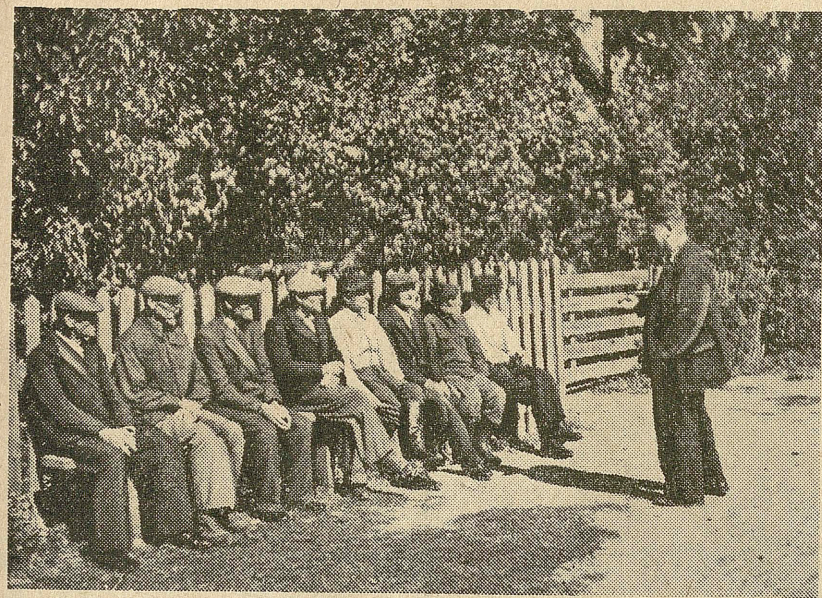
Warszawa, dnia 12 lipca 1953 r.

Nr 28 (414)

WACŁAW PALIK

O GOSPODARZACH TERENU W PRZEDEDNIU ŻNIW

(Fragment dyskusji na Sesji Powiatowej Rady Narodowej powiatu Reszel)

RADNY GORTATOWSKI
z gm. Lutra

Nasza spółdzielnia w Kiekitach otrzymała za rok 1952 sztandar przechodni w powiecie. Nadchodzi nowe żniwa. Myślę, że sztandar nie wypuścimy z rąk. Dlaczego tak myślę? Bo w miejscu nie stojemy. Idą też naprzód inne spółdzielnie. Ale nasza należy do najstarszych. A czas w walce znaczy dużo. Cztery lata gospodarujemy, cała wioska w spółdzielni. To wam chcę powiedzieć, Obywatele Radni, że na gospodarce zespołowej — państwo nasze może się oprzeć. Myślimy w ub. roku pod uprawę mieli 200 ha, a rodzin 36 i 80 ton zboża i ogólny swobodnie i z ochotą dać ponad pian. Od nas zboże selekcyjne biorą indywidualni z wioski okolicznych. Od nas też wiośny dużo kupowali chleba. My nie gadamy, co słońce przyniesie na język, a wiatr potęgi i szukaj prawdy w polu. U nas to wszystko można sprawdzić. Jest w księgach i na wydrużonych listach zapisane — przejrzyste i niezbita. Myślimy polubić te plany i rachunki. Z nich płynnie taka nauka, jakiej chłop jeszcze nigdy w historii nie poznał. Bo co tu gadać o godności człowieka i obywatela, póki on jak ten listek na rzecze. Myślimy łódź wybudować i sterujemy świadomości. U naszych spółdzielców sąsiadki jeszcze dziś pełne chleba, ale my wiemy, skąd on się wziął, jak go trzeba powiększać i abyć do końca?

Na tej ziemi piastowskiej, której powrócił nas Ojczyzna, zastaliśmy ugory zachwaszone. Od niejednego chłopca wyszły burzany. Trzeba się było w ziemię wryć, aby chlebać. Ale nasz powiat, Obywatele Radni, ma charakter rolniczo-hodowlany. Takie pisanie jest życie tej krainy. Jak Śląskowi jest życie było wsielone w węgiel i żelazem. Na tym Śląsku zamykano jednak przed wojną kopalnie i huty. Odbierano życie Zagłębiu, a w ten sposób życie całemu narodowi. O takiej polityce dobrze wiemy, co sądzić. Była to polityka zdrady narodu, wyprzedawania naszej Ojczyzny. Ale odłód władze dzierży klasa robotnicza w sojuszu z chłopstwem pracującym, nasz Śląsk takim zajęł się życiem, że godny stał się imienia Stalina.

Obywatele Radni! My, chłopcy w powiecie Reszel, jesteśmy odpowiedzialni za charakter tej ziemi. Według tego charakteru mamy obowiązek rozwinąć jej życie. Bo to życie należy nie tylko do nas, ale przez nas do ojczyzny, aby podnosić dobrobyt i siłę całego narodu.

Otóż, rozpatrzmy na tej Sesji Budżetowej i Planu na r. 1953 dla naszego powiatu — jak my gospodarujemy w powiecie? Bo co kto robi na indywidualnym, spółdzielczym i państwowym gospodarstwie, pracuje albo w kierunku rozwoju życia naszego powiatu według charakteru tej ziemi albo hamuje jej rozwój i marnuje możliwości tej pięknej krainy.

Wzrósł się zatem do liczb. W ubiegłym roku na obowiązkowy i wolny skup sprzedaliśmy żyta o 14 proc. więcej niż w r. 1951, pszenicy o 90 proc., owsa o 17 proc. Jesienią mimo deszczów orki wykonane zostały w 98 proc., tzn. o 11 pr. objęły więcej ziemi niż w r. 1951. W tej dziedzinie duże mamy osiągnięcia. Trzeba to nawet podnieść. Bo i plony mieliśmy u indywidualnych rolników przeciętnie o 15 proc. większe jak w roku zaprzestaliśmy.

Ale w spółdzielniach były jeszcze wyższe o 17 proc. od indywidualnych. Czyli, że w złożowych i okopowych jeszcze więcej można wyciągnąć z tej ziemi. Trzeba jednak gospodarować po nowemu, zespołowo. Ale czy spółdzielnie w tej tylko dziedzinie pokazały, co można i co trzeba w naszym powiecie osiągnąć? Nie, Obywatele Radni. Spółdzielnie pokazały o wiele więcej. One wzięły kurs na główny kierunek naszego powiatu jako hodowlano-rolniczego. Bo weźcie pod uwagę zbiory w naszej spółdzielni Kiekity. W jarej i ożmiej pszenicy 20 q z ha, żyta 15, owsa 22, buraków 200 q.

O czym mówią te osiągnięcia w porównaniu z innymi okolicami w naszym kraju, np. pszenno-buraczanymi? Że na tej tylko drodze nie zajądziesz tak daleko, jak w Miechowskim lub Lubelskim. Trzeba nam iść po dwu na raz torach i mocniej brać kurs na hodowlę.

A jakże było z tym drugim torem ubiegłego roku w naszym powiecie? W skupie trzody chlewnej osiągnęliśmy tylko 84 proc., bydła — 80 proc. W hodowli podciągaliśmy w ub. roku, zbliżając się do wskaźników planu, koni — 97 proc., trzody chlewnej — 95, owiec — 98, bydła — 101 proc.

101 proc. była to dobry znak. Mogliśmy w tym roku osiągnąć przełom i wreszcie ugruntować rolnictwo na bazie właściwej dla powiatu Reszel. Ale co wam mówię, Obywatele Radni, taka liczba?

Oto, w zeszłorocznym skupie osiągnęliśmy 133 proc. cieląt. Tyle byczków? Nie! Tu poszły na rzeź również przyszłe krowy, dojne i cielęta. Taka „polityka” podważa kierunek rozwoju i zahamowała go. A co to znaczy? Znaczący po pierwsze, że u indywidualnych tu i tam zmniejszyć się mogą dochody. Z ich własnej winy. Znaczący to po drugie, że z własnej winy znajdują się tu i ówdzie wobec większych trudności przy wywiązywaniu się wobec państwa z obowiązkowych skupów. Bo proszę Was, Obywatele Radni, charakter naszego powiatu dobrze jest znany naszemu Rządowi Ludowemu i uwzględniony w Planie 6-letnim. Na realnych możliwościach budowany ten plan dobrobytu i kultury całego narodu. Możliwości hodowlane w naszym powiecie upoważniały do tego, aby w roku bieżącym przysłać rozszerzenie arealu pastwisk o 15 proc., kartofli o 26 proc. Aby w skupie zboża zmniejszyć wskaźnik naszych obowiązków o 4 proc., a podnieść wskaźnik na trzodę chlewną o 14 proc., mleka o 28, owiec o 20 proc.

Po trzecie, Obywatele Radni, utylizując w hodowli, nasz powiat ma naturalnie największe dobro — siłę przyrody tej krainy. Ona zaś jest nie tylko własnością każdego z nas, ona jest własnością całego narodu. I trzeba jej moc produkcyjną szanować jako moc ludową, jako siłę naszej ojczyzny.

Na nikogo innego tej odpowiedzialności zrzucać nie możemy. Od nas klasa robotnicza ma prawo oczekiwać patriotyzmu w spółgospodarstwie i według stopnia tego patriotyzmu oceniać nasz wkład w sojusz rolniczo-chłopski.

I tu muszę znów nawrócić do spółdzielni produkcyjnej. Nadchodzi żniwa w polu! Ale my pamiętajmy o żniwach całego roku. O żniwach, jakich oczekuje od nas Państwo Ludowe w powiecie Re-

szel. W bilansie naszego powiatu mamy bowiem podsumować dwa osiągnięcia: w polu i w hodowli!

Patrzę dalej. Dlatego przypominam, że o pełnym zwycięstwie nie zdecydowały jeszcze żniwa, zdecydowały obrachunek całego roku, plody ziemne i hodowla.

I tu, Obywatele Radni, spółdzielnie produkcyjne świecą przykładem i wskazują właściwy kierunek. W Kiekitach mamy wielką oborę, ponad 100 sztuk bydła. Dlatego służnie na początku powiedziałem, że na gospodarce zespołowej może się nasze państwo oprzeć. Ale naszym obowiązkiem jest natchnąć patriotyzmem wszystkie gromady w powiecie. Bo bój o rozwój produkcji według możliwości i charakteru naszej ziemi, to bój o siłę i bogactwo ojczyzny.

RADNY FELIKS SOCHA
z gm. Czerwona

OBYWATELE Radni! Będę mówił o szczegółowych sprawach. Na pierwszy ogień — maszyn. W POM i Gomach mamy dużo maszyn. Ale jaka ich zdolność w pracy? Kosiarzki i żniwiarki wystawno w ubiegłym roku z jedną sztangą, znaczy się z jednym nożem. Gdzie rozum, kiedy właśnie najbar-

ziej sztanga się tępi, gnie i łamie. Nie wyciągnęli GOM-y właściwych wniosków i do tegorocznych sianokosów znów poszły kosiarzki po staremu. Czy możecie powiedzieć, że okrągły rok to mało czasu na dorobienie sztang?

Byłem na kontroli GOM w naszej Czerwonce. Kosiarzki 4. Dwie rozprawdano. A pozostałe dwie? U jednej brak nakrętki do targańca. Tylko nakrętki — śrubki znaczy się... sto! Druga wrychotwana, ale kierownik nie ma pełnych 10 dniówek zamówienia, więc też stoi.

Taka to polityka maszynami? Czy kierownik to pajak, który czyha za piecem na muchę? A jemu nie łaska wyjść do gromad i robić zamówienia? W ubiegłym roku do akcji żniwno-omłotowej agregaty GOM były nie przygotowane, brakowało też motorów spalinowych. Czy Gminna Rada chce powtórnie dopuścić do takiego stanu? Umiało Prezydium wzywać tych, co się ze skupem opóźnili, a nie umie wzwąć hultaja, który jest częściowym sprawcą tego opóźnienia?

Obywatele Radni! Nie wolno nam zaniedbywać maszyn. Bo co my wtedy zaniedbujemy? Samą produkcję, pomoc w pracy, tempo zbiorów, omłotów i skupu. Cały ten jancuch, który powinien być ścisły, rozlał się nam w rękach.



Chłopi patrzają poważnie na maszynę. Ale dlatego cholera ich bierze na te pojedyncze sztangi, na brakujące nakrętki, na przestoje, na nie uruchomione agregaty. A my co? Czekamy, aż wróg przerobi gniew chłopów na lekceważenie maszyn? Wróg wbija tu klina w sojusz rolniczo-chłopski. Podważa spójność na metal. Podważa to, co chło-

pu na wsi najbardziej imponuje, bo mu najbardziej potrzebną.

Sprawa podatków. Obywatele Radni! Nasza gmina oraz gminy Radostowo, Kołno i Klewno zdobyły szczególną sławę. Okazało się, że opłaty administracyjne przyniosły naszej gminie dochód. Z tego źródła wymyślono pozycję dochodu. Oczywiście, że było to wadliwe planowanie finansowe.

Oczywiście, że trzeba wykarzczać elementy biurokratyzmu i rozkładu z aparatu naszych rad. Bo jeśli gmina Czerwona osiągnęła w opłatach administracyjnych 95 proc. dochodów, a mieści się tu nie mała pozycja podatku gruntowego, to czegoż ten „ponadplan” dowodzi? Braku jakiegokolwiek przemyslenia! W gminie Klewno z tytułu podatku gruntowego „przycięto” 204 proc., tzn. dwa razy ponad obowiązujący plan podatku. Komu to było potrzebne? Płatnikom? Oczywiście — nie. Radzie? Oczywiście — nie. Przecież to nie pozycja do dochodów ponad plan? Krótko mówiąc, tu nie o dochodowość idzie, ale o dopilnowanie sumiennego wypełnienia obowiązków obywateli-rolników.

Dopilnowanie nie na karach stoi, ale na właściwym podejściu w całorocznej pracy ludności gminy, na wciąganiu najlepszych chłopów do współpracy z radą, aby rozszerzyć i pogłębić na co dzień bezpośrednią łączność z aparatem władzy terenowej ze wszystkimi pracującymi chłopami.

Jakie tu mamy wyniki? Gmina Czerwona w bieżącym roku znów opóźnia się w spłacie podatków. Zeszłoroczny „ponadplan” nie wpłynął wychowawczo, nie upolitycznił chłopów. Na koniec maja mieliśmy dopiero 37 proc. wykonanego planu przez indywidualnych, bo spółdzielnie — te już wpłaciły 72 proc. planu finansowego.

A czy zeszłoroczny „ponadplan”, myślicie, Obywatele Radni, utworzył chociaż gęstą siateczkę? Gęste tam. Tkany był bardzo nierówno. Znalazły się w nim duże okazy, przez które przelazły prawie niekiedy niejedną z takich, co ma 3 konie, 9 krów i 30 świń.

Tu, Obywatele Radni, należało bić i trzeba bić. B. u takich przy 3 koniach, 9 krowach i 30 świń, którzy zalegają z podatkami, kiedy mało-średnioludni za nich wciągają „ponadplan” finansowy — u takich to kumbinacja. Kasę oszczędności chcą zbić na Ziemianach Odzyskanych, aby potem tam, skąd przyszli, wille sobie wystawić. Czy to nie oni uczą porzucenia gospodarstwa, płynności w rolnictwie, dzikiej uprawy, samowolnego przechodzenia i dzierżaw przed terminem zwracanych aby nie płacić minimalnego podatku?

Trzeba więc nie tylko skończyć z mechanicznym ponadplanem tam, gdzie jako zadanie stoi tylko norma, ale trzeba do osiągnięcia tej normy, która określa obowiązek obywatelski rolników, wciągać szeroki aktywny. Trzeba uziębiciokrotnie siły Rad Narodowych, przyciągać pracujących chłopów do pracy w codziennym kierowaniu terenem. Wtedy będzie walka wtedy złapać się we wyniki trudności, a wszystkie rzeczywiste trudności u mało-średnioludni zostaną jak należy uwzględnione. I nasz aparat terenowej władzy będzie stał się z masami, będzie z nimi tworzył jedność ludową.

Wacław Palik

ZYGFRED SAWKO

DZIEWCZYNA OD MŁYNA

(Fragment poematu)

I

Od wsi skręcałem ku młynowi w prawo
na swój drewniany mostek
obok stawu,
w cien wierzby przysmyk, których liści zielen
spływa tu fontanna.

Młyn nie miele.
Nad stawem cisza. Droga się oddala
wraz zaprzężony w konie przez fornała,
twojego szwagra —
drogą wśród żoź brodzi.

Podnosisz chmurne czoło — ktoś podchodzi.
Pozdrawiam cię
pogodą moich oczu,
znęcony pytam, czy pozwolisz spocząć

Drewniany, stary mostek obok młyna —
za nim wznieślenie.
Drogą woz się wspinia
załadowany mąką — skrzypią osie...

Pod ścianą młyna co dzień na kamieniu
siadaś
patrz — widzisz jak się mienia
i zalamują w stawie
barwy słońca,
jak kwitną kwiaty za drogą
na łące.

W gąłkach wierzby promienieje zorza
i ze spokojem
bydło z pastwisk wraca...
A tobie smutno. Tobie, spojrzysz na co:
na wierzbę — płacze,
na bór — słońce krwawi,
na bydło — ryczy
żałośnie jak dawniej.

Czyżby nie dziesiąt rok czterdziesty piąty —
zwycięstwa róz —
powrota chłopów z frontu?

W czterdziestym szóstym
siedziałas ciągle jeszcze na wsi
w pustce
starego domu z ojcem, siostrą, szwagrem...
Czeresnie dojrzewały, wiśnie, agrest...

Wzdłuż brzegu stawu na kwitnące łąki
szłaś ze mną
poprzez smugi jak przed rokiem.
„I mój — i nie mój staw” — mówiłaś patrząc
jak urzeczona na wodę bogatszą
o blask szmaragdów,
złotocieni złoza
wśród wodorostów, gdy jaśniała zorza.
Kochalas — wiem, kochałaś to ustronie.

Do szosy drogą odwoziły konie
zmłone zboże, falowały w polu
zielone kłosa...

2

Przy drodze tuż
bez fundamentów, czarna,
kto wie jak dawno pobielona ścianą
pochyłonego ze starości domku.

I okno na ulicę trudno domknąć,
i drzwi do słońki
wąskiej,
zbiżej z desek
od strony drogi, których zawias nie chce,
ni żaden skobel trzymać, ani gwoździć...

I drzwi wciąż niedomknięte.
Szpara wchodzi
do izby kurz, ilekroć na pastwisko
wygania pasterz owiec kłębowisko,
na jarmark,
na odpusty jeżdżą fury,
dmą wiatry z pol piaszczystych wśród wichury.

Na ścianie domku drukowany napis:
„Pamięć Biblioteczny”.
Pożółkły w słoncu papier.
Sam dziwny styl budynku
zmusza prawie

zatrzymać się — tak miłe zaciekawia.
A cóż dopiero napis. — Wleś
nie czeka.

Nim wzmiesie Dom Kultury — biblioteka
zadanie spełni w domku choć najbrzydszym.
Bez skobla u drzwi — jakże symbolicznym.
Pośrodku stół, a w rogu wielka szafa.
Zamknięta. Cisza. Znać nie w porę trafiam.
Na ścianach rozwieszona czyjaś odzież:
spódniczka, płaszcz, bluzka...

W takiej chodzie
odzieży lubi dziewczę w młodym wieku.

Wyganiam ptaćwo, z okna wypatruję...

Chłop jakiś drogą
na ramieniu z kosą
samotnie idzie poprzez wioskę — boso.

„Chłowieku” — wołam wybiegając za nim —
„nie wiesz, dokąd mogła wyjść z mieszkania
bibliotekarka?”
Chłop nie myśląc wiele
rzekł krótko:
„W polu,
u młynarza piele”.

Po drugiej stronie drogi blachą kryta
biel ścian wśród krzaków,
barwne okna w szczytach —
z topolą równych w głąbi. Dom sąsiada.

Z daleka poznać czyja to osada.
A zagród we wsi
zamożniejszych — mnóstwo.
Tu barwne domy, gdzie indziej — ubóstwo.

Spółdzielcza wieś na horyzoncie —
domyślasz się po domkach równych, chociaż
nie byłeś dawno w okolicy. Sroda.
Od szóstej rano kobiety w ogrodach
spółdzielczych
jak i chłopskich — piela.

Mężczyzna każdy jeszcze wcześniej stanął
do pracy — chcąc zakończyć przed niedzielą
koszenie łąk.
Południa są upalne —
południa w domach, a z pola jedynie
nie wolno schodzić najmniejszej dziewczynie.

3

Gdy z pół wróciła, późny był już wieczór.
Trzymałem w ręku „Dzieciństwo” Gorkiego
w staw patrzając...

Mogłemże spotkanie przeczuć?
W „najemnej” dziewczynie,
w bibliotekarce — z ustronia przy młynie
chmurna, przed laty dziewczynę poznałem.

— „Smutną towarzyszką u nas książkę czyta...”

Księżyc w obłokach jak w pianie lśnił biały —
niezwykłych rozstań świadak
i nowit.

Byliśmy za oceanem

ANDRZEJ PASTUSZEK

GORZKI JEST CHLEB NA TULACZCE

W 1926 roku z powodu braku pracy i chleba w Polsce zmuszony byłem emigrować do Ameryki. Polska sanacyjna pozbawiała się nas chętnie. Nikt nie pomyślał, czy tam, w północnej Ameryce znajdziemy jakieś ludzkie warunki do życia, czy życie się nam rzeczywiście polepszy. Grunt, wysłać niepotrzebnych ludzi, pozbyć się ich i zmniejszyć w ten sposób bezrobocie.

Kanada wpuszczała tylko chłopów. Bo ręk do pracy na roli było za mało. Natomiast w fabrykach, jak się okazało po przyjeździe, dla samych Kanadyjczyków brakło pracy.

Po przyjeździe do Kanady załadowano nas zaraz do pociągu. Każdemu przypięto na piersiach kartkę z napisem: Winnipeg CPS Station. Dosłaliśmy po paczce żywnościowej. Był w niej chleb, kawalek sera szwajcarskiego i zgniełe banany. Za taką paczkę płacono się dolara. Nie w Kanadzie nie dawano darmo. Za wszystko trzeba było płacić i to słono.

Po trzech dniach podróży znaleźliśmy się w biurze emigracyjnym. Tam już czekali na nasz przyjazd bogaci farmerzy, potrzebujący taniego robotnika. Podchodzili do każdego z nas, oglądali, o mało w zęby nie zaplądali, jak kontom wystawionym na sprzedaż na targu. Tych, których sobie wybrali, zabierali na swoje farmy.

Przyjechalśmy późno w nocy. Byliśmy pomęczeni ciężką drogą i wygłodzeni, bo paczka za dolara starczyła nam musiała na trzy dni. Pieniądzy za dużo nikt nie miał, więc i nie dokupywaliśmy nic po drodze.

Głodni też posłaliśmy spać. A następnego dnia o 5 rano już farmer zaczął nam wstawać i brać się do roboty. Był to okres żniwny. Każdy z nas dostał po parze koni i miał zwozić zboże do maszyny. Pracowaliśmy ciężko, a najgorsze, że bez ograniczenia godzin, co najmniej po 15 godzin. Żywiono nas marnie, nieraz byliśmy głodni, w dodatku farmer płacił nam mniej niż innym robotnikom. Oni dostawali po 4, a my po 3 dolary. Wykorzystywali naszą sytuację, nieznajomość kraju, języka angielskiego i stawek płaconych robotnikom w Kanadzie.

Kiedy po dwóch tygodniach skończyliśmy robotę przy żniwach — wypłacił i zaczął jechać, gdzie oczy poniosą, bo u niego nie było już dla nas roboty. A tu zaczynała się zima (żniwa w Kanadzie zaczynają się we wrześniu i trwają do października). Mrozy zaczęły dokuczać, a ubrania zimowego nikt z nas nie miał. Po namyśle zdecydowaliśmy się wrócić do Winnipeg, stołecznego miasta prowincji Manitoba.

Część otrzymanych od farmera pieniędzy wydaliśmy na podróż. A kiedy przyjechalśmy do Winnipeg, dowiedzieliśmy się, że jest bezrobocie. Nie wiedzieliśmy, że w mieście, zwłaszcza po żniwach, jest bardzo ciężko o pracę, bo wszyscy robotnicy rolni zatrudnieni sezonowo na farmach zjeżdżają do miasta na zimę. Chwytają się każdej pracy, jaka się nadarzy i przejadają zarobione w lecie pieniądze. Tak jest co rok. Robotę w tym okresie czasem można dostać w lasach, przy karczowaniu. Ale i tej pracy dla wszystkich nie starcza. Choć z emigrantów robotnicy byli nieźli, tani i inni, można było ich łatwiej oszukać, to i tak wychodzono nawet do tej roboty w lesie nie chciano przyjmować, bo nie znali angielskiego. Co robić, z czego żyć? Uradziliśmy w kilku pojeździe do polskiego księdza, poprosić o pomoc. Liczyliśmy, że nam doradzi, a może i pomoże w dostaniu pracy. Ale ksiądz udawał, że po polsku nie umie mówić, chociaż słyszeliśmy, jak wygłaszał po polsku kazanie. Zrozumieliśmy wtedy jasno, że temu księdzu nie chodziło wcale o takich biedaków jak my. Co by mu z nas przyszło? Ani czym się „odwdzięczyć”, ani na datki na kościół — a właściwie na księdza proboszcza — nas stać nie było.

W parę dni potem dowiedzieliśmy się, że w Winnipeg jest jakaś ukraińska robotnicza organizacja. Udał się tam zaraz i oni nam prawdziwie pomogli, bo skierowali do roboty w lesie.

JÓZEF PIOTROWSKI

ŻYCIE „GORSZYCH LUDZI”

Jedząc po Argentynie w poszukiwaniu pracy, miałem nieraz okazję przyrzec się warunkom, w jakich żyli rolnicy. Drobny rolnik albo kupował ziemię w prowincji Misiones czy Chaco (tylko w tych dwóch prowincjach można kupić ziemię) lub też wydzierżawiał ją w innych prowincjach od wielkich właścicieli.

A trzeba wiedzieć, że w Argentynie w rełkach ok. 1000 rodzin znajduje się niemal cała argentyńska ziemia. Ci obszarnicy sami nie wiedzą dokładnie, ile posiadają tysięcy hektarów, ile mają stad pasących się na tej ziemi bydła.

Otóż od takiego obszarnika można było wydzierżawić ziemię, ale tylko na 4 lata. Opłaty za dzierżawę były dość wysokie, ale jeśli mimo to udało się rolnikowi po paru latach tak zagospodarować dzierżawioną kawałek, że mógłby się dorobić, to akurat kontrakt wygasł i właściciel nigdy go nie przedłużał. Bo i po co? Ziemia była zagospodarowana i obszarnik wolął sam ciągnąć z niej zyski. A dzierżawca mógł u innego obszarnika wziąć kawałek ziemi, ale znowu tylko na 4 lata. A potem znowu po latach ciężkiej pracy wynosić się gdzie indziej.

W tych prowincjach, gdzie wolno było kupować ziemię, była rzeczywistość tania. Ale co z tego, kiedy na to, by zamienić ją na pole uprawne — trzeba było wykarczować dziesięć puszczy. Po wycięciu lasów i oczyszczeniu pola zastawa się je nie tak jak u nas, trochę owsem, trochę pszenicą, trochę mieszaną itp., tylko albo wszystko pszenicą, albo wszystko rzepakiem czy inną rośliną. Gdy przychodził czas zbiorów, prywatna firma — kompania — przysyła maszyny i ludzi, oni zetrą zboże i wymiatają. A potem podjeżdżają kompanijne samochody i całe to zboże zabierają do miasta. Ma się rozumieć, że kompania kupująca od rolnika zboże liczy mu słono za maszyny i za transport. Odbiera rolnika tak, że darmową cenę za to zboże w końcu płaci zarabiając 300—400%. A jeżeli ktoś by próbował nie skorzystać z usług kompanii, nie sprzedać jej zboża — to cały plon gnieje na polu. Rolnik do miasta odległego o trzysta i więcej kilometrów zboża nie powiezie.

Właściciel kompanii poza maszynami do sprzętu zboża, czy samochodami do jego transportu ma swoje młyny, swoje sklepy spożywcze, ciastkarnie, piekarnie itp. On też dyktuje cenę na wszystko rolnikowi w mieście, który nie ma do wyboru żadnych innych sklepów, i rolnikowi, który zmuszony jest jemu sprzedać, bo inaczej zmarnują mu się plony.

W każdej fabryce w mieście czy na wsi po faszystowsku dzielono ludzi na „lepszych” i „gorszych”.

Najbardziej uprzywilejowani byli Anglicy, Hiszpanie, Niemcy. Oni pracowali na najlepszych stanowiskach, przy najlepszych robotach, oni też byli najlepiej płatni.

Druga kategoria ludzi to byli Francuzi i Włosi. Słowianie: Polacy, Litwini, Ukraińcy, Czechosłowacy i tni pracowali najciężiej, przy najgorszych, najbardziej brudnych robotach, pomiatano nimi i w pierwszej kolejności zwalniano z pracy Słowianin nie mógł być urzędnikiem państwowym i traktowany był niewiele lepiej od kolorowych — tubylców.

Najstraszniejszy był los kolorowych. Dla nich nie było miejsca na „wolnej” argentyńskiej ziemi. Co wykarczowali jakiś kawał lasu i chcieli go zamienić na pole uprawne; zabierali im to pole Argentyńczycy, a ich spychali coraz dalej w las. Tubylców wyszukiwano bezlitośnie. Część pracowała na plantacjach trzciny cukrowej na Formozie. Ich starszy — kacyk (wyróżniający się znajomością języka hiszpańskiego) umawiał się z właścicielem plantacji albo z zarządzającym plantacją o zapłatę. Rzecz jasna, że płaćli im niedługo. Taki tubylec za cały dzień ciężkiej pracy nawet na życie nie zarobił. Wykorzystuje go nie tylko właściciel, ale i ten sam kacyk, który część z tej niedługo zapłaty jeszcze urzyna dla siebie. Właściciel plantacji nie płaci kolorowym pieniądzem, tylko bonami do swoich sklepów. W tym sklepie za wszystko im liczą drogo i często oszukują zapisując np., że wziął więcej towaru niż na prawdę wziął, tak że w końcu muszą oni całe miesiące pracować darmo, by białemu panu zwrócić za towar wzięty w sklepie.

Tubylców nie chroni prawo. Tubylec można zabić, nikt się za nim nie ujmie. Traktuje się go gorzej, jak zwierzę. Zmusza się do pracy po dwadzieścia parę godzin. Nie dziwnego, że żyje on najdłużej do 35 lat.

Pamiętam w 1946 r. przyjechać do Buenos Aires delegacja tubylców prosić rząd o przyznanie im prawa do ziemi, o wyznaczenie im jakiegos terytorium, z którego by ich biali nie wygnali, na którym mogliby spokojnie żyć. Rząd delegację przyjął uprzejmie. Obwoził ich małpy w klatkach i pokazywał ludziom, a później odmówił im ich prośbom, zaczął jechać z powrotem. Tubylec się na to nie zgodził. Wtedy policja rzuciła na nich bomby gazowe. Siłą ich zabrali, zapakowali do wagonów i wywieźli.

Tak w „wolnym demokratycznym” kraju traktuje się człowieka.

Fragmenty z tomu wspomnień emigrantów polskich w USA, który ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

JERZY MILLER

DWA BRZEGI WISŁY

Wieluż to w chwili śmierci, gdzieś nad Amazonką, ostatnią myślą biegnie do ciebie o, Wisło! Kolibrów śpiew świergotem zdał się im skowronków i obca rzeka mową gadała ojczystą.

Pod tchnieniem z delf mulistych zionącej malarii, o czym tulacz-emigrant, chłop w siermiędze marzył? Czy śnił mu się liść wierzb, czy liść araukarii i co wreszcie przyniosło spokój martwej twarzy?

Widział się w Polsce, w ziemi żytynie pogrzebany nad brzegiem Wisły, która była dlań macochą. Chciał, aby ciało nurtem obmyto wiślanym, by za trumną szli ludzie ciężko, jak za sochą.

Ale nawet w marzeniu przecież nieziszczalnym, w tęsknocie, co bolała bardziej od tulaczki, nie umiał się zobaczyć, mrąc pod cieniem palmy, inaczej niż w roli narodowej płaczki.

Któż ich groby odnajdzie — nieznanych wygnańców jak nieznanych żołnierzy nigdzie nie spisane? Grudka ziemi wypadła z rozkurczonych palców i ziarnka żyta w dłoni kielkują nie wsiane.

ZOFIA WOŹNICKA

O KSIĄŻCE, KTÓREJ W USA NIE WYDANO...

TERAZ, kiedy oczy wszystkich zwrócone są na Amerykę z wyrazem bólu i gniewu, ale także z wyrazem miłości i dumy, albo w przebiegu sprawy Rosenbergoów uwidoczniliż znów i z większą niż kiedykolwiek jaskrawością walkę dwóch Ameryk — książka E. E. Warda*) ukazuje się bardzo na czasie. Mówi ona o walce, która toczy się obecnie w Ameryce, pozwala lepiej zrozumieć mechanizm, którym rządzi się Ameryka, a właściwie, którym jest rządzona.

Powieść Warda obejmuje historię życia bohatera, a właściwie wycinek tej historii, dający pretekst do ukazania przekroju społeczeństwa i uwydatnienia podstawowych problemów społecznych.

Pewna cecha powieści Warda wiąże ją z tradycjami postępowego, demaskatorskiego odłamu literatury amerykańskiej — książka ta demaskuje pewną szeroko lansowaną bajeczkę Bajeczkę o wspaniałej amerykańskiej karierze, otwartej dla wszystkich energicznych, uczciwych ludzi, którzy trzymają się przykazania boskich i nie przekraczają kodeksu karnego.

Już stary Twain rozprawiał się z tym mitem. Książka Warda demaskuje jeszcze jeden, szczególnie perfidny i zgnębiający wariant tej bajki. Autor rozprawia się mianowicie z lansowaną przez sprzedającą literaturę, propagowaną za pomocą prasy, radia i filmu, przeznaczoną dla reszki robotniczych mrzonką o „rozsądnym, patriotycznym, prawdziwie amerykańskim robotniku”, który z pracodawcami, równie „porządnyimi facetami” dogada się zawsze, przechodząc mimo walki klasowej, „zawracania głowy”.

Stworzył ten mit ludzie, dla których solidaryzm społeczny jest niezwykle wygodnym narzędziem. Ward pokazuje w swojej książce, jak taki właśnie sposób ujmowania zagadnień społecznych prowadzi nieuchronnie do zdrady. Widzimy, jak pozabawiając się samochocą jedynego niezawodnego oręża w walce z kapitalizmem, którym jest

marksistowska filozofia, miły i dzielny człowiek, typowy amerykański „dobry chłopiec” staje się zdrajcą, tchorem i fałdakierem. A wszystko to dzieje się niezależnie od tego, że Littleman ma instynkt klasowy, który jednak, jak każdy instynkt, ulega stepieniu, kiedy Steve zostaje wyrwany ze swego środowiska, wystawiony na wszelkiego rodzaju pokusy i kiedy odpowiednie czynniki robią wszystko, żeby go zdeprawować.

Stephen Littleman (nazwisko jego jest wymowne) nie jest złym człowiekiem, przez długi czas towarzyszy mu sympatia czytelnika, jego odejście od klasy robotniczej następuje stopniowo, jego upadek nie jest łatwy, nie obrywa się bez prób walki i oporu, autor nie ułatwił tu sobie zadania. A jednak drogę zdrady przebiega Steve logicznie i konsekwentnie od chwili, kiedy będąc przywódcą ruchu robotniczego odrzucił broń marksizmu. W ukazaniu tej konsekwencji tkwi zwycięstwo ideologiczne i artystyczne autora.

Myszę, że to był powód, dla którego żadna firma w Ameryce nie podjęła się wydania tej książki, wskutek czego wydawnictwo polskie ma zaszczyt po raz pierwszy ogłosić drukiem powieść Warda. Wydawcy amerykańscy decydujący się nawet na ujawnienie gorszych nadziej niż te, których dopuszczali się podwładni milionera Pasmora, zrozumieli dobrze, że milionerzy i ich machinacje nie stanowią sedna zainteresowania Warda, który zwraca się do przedstawicieli prawdziwej Ameryki — klasy robotniczej, rozumiejąc, że od jej dojrzałości, od jej rewolucyjności zależy przyszłość kraju.

Książka Warda ujęta jest w dwie kompozycyjne klamry: zaczyna się zrzuceniem z urzędu sekretarza Związku Zawodowego Tony Schermerhorna, który się na tym stanowisku zdemoralizował, a kończy się klęską poniesioną przez Littlemana, który jak i jego poprzednik uległ wrogim wpływom. Mimo to książka nie jest pesymistyczna. Nie do-

W osadzie podzwigniętej na miejscu, gdzie puszcza skrętami lian polskie dłonie rozkrwawiała, kabokło brazylijski jak spętany mustang buntowniczą tęsknotą do wolności pala.

A Wisła! Czyż jej woda i dzisiaj jest gorzka jak ludzkie, którzy w niej się przed laty przejrżeli? I słowik, gdy wieczorną, miłosną pieśń kląska czy nadal trąca smutku strunę jak Anieli?

I brzeg, na którym lżejby się tulaczom marło niż nad niewzruszonym w dżungli żytem — czyż się zmienił, jak ziemia, co swą dolę przekreśliła czarną, nie chcąc dłużej brać wzoru z śródpólnych kamieni?

Pod kopcem Wandy pieców błysły paleniska i tygle Nowej Huty ciemność roztopiły. O gdyby, który z was nieszczęśliwy wzrok odzyskał, o gdyby martwe serca na chwilę odżyły!

Gdybyście dzisiaj mogli przypatrzeć się Wiśle przed batalią natchnionych piaskarzy i nurków i uwierzyć, że jutro struga światła tryśnie z jej szarego jak popiołu i chłodnego nurtu!



Z dzieł polskich emigrantów — przy budowie kolei

odzi, że każdy człowiek porządnym, lecz przeciętnym, wyniesiony na stanowisko przywódcy, musi marnie skończyć. Ostatni akcent książki jest optymistyczny: Erik Ragnald, świadomy komunista, istotny przywódca mas robotniczych, nie został ich formalnym reprezentantem tylko dlatego, że zastosoowano terror, ale w istocie Erik odniósł zwycięstwo, a wraz z nim zwyciężył ogół robotników, który zrozumiał wreszcie, że tylko przyswojenie sobie rewolucyjnej ideologii, aktywność, bezkompromisowy udział w walce klasowej, uszczęśliwią ich od ponoszenia dalszych klęsk.

Wszystkie te prawdy ukazuje autor na żywym, ludzkim materiale — z tego względu książka jego jest interesująca nie tylko dla jej walorów poznawczych, ale i artystycznych. Postacie Stephena Littlemana i jego żony urastają do wymiarów postaci typowych. Wiele scen wibruje się w pamięć (np. kapitalne spotkanie Steve'a z milionerem Pasmora).

Oczywiście nie wszystkie postacie są równie żywe i wyraziste. Obok Gusa, Eryka i dzielnej Flo razie sentymentalna Pia i jej dziwaczne wystąpienie, kiedy to zamierza skarżyć

się publicznie na przemieszanie Littlemana. Zdaje się, że tak jak i cały aktyw robotniczy, czytelnik za mało wie o sekretarce Nellie, która niespodziewanie przychodzi z pomocą robotnikom. Jej wystąpienie wydaje się raczej filmowym happy endem niż realnym uutoywowanym psychologicznie czynem, zastrzeżenia te, nieliczne zresztą, wynikają, zdaje się, stąd, że w swojej powieści Ward chciał zmieścić (stały błąd debiutantów) zbyt bogatą galerię postaci, a wskutek tego nie zawsze stać go było na artystyczne ich pogłębienie. Te debiutanckie braki są z nadmiarem opłacone przez świeżość książki i nie zmniejszają wartości powieści, jednej z niewielu mówiących o ruchu robotniczym w Ameryce, o trudnościach, z jakimi się ten ruch boryka. Jest to odważny utwór wskazujący drogę, po której ruch ten pójdzie, utwór pisany z talentem i pasją.

Zofia Woźnicka

*) Estelo Ethan Ward — *Rene-gat, Wyd. Czytelnik, 1953, tłum. Jan Meysszowicz, str. 500.*

PRAWDA O AMERYCE

KSIĄŻKA Clary Weatherwax „Będzie nas więcej”*), to szkic do wielkiego obrazu losów i walki amerykańskiej klasy robotniczej w okresie międzywojennym. Dwustopniowa powieść, pozbawiona wyrazistych fabuł, ukazuje raczej fragmentaryczne słabo spójne ze sobą epizody i postaci — zawiązując szereg konfliktów i wątków wymagających rozstrzygnięcia w jakiejś wielkiej epopei.

„Będzie nas więcej”...

Nas — to znaczy tych, którzy „żyją w zniszczonych, brudnych szopach, zbudowanych na palach” w pobliżu Tye House, walczą z posiadaczami białych willi i letnich rezydencji jaśniepańskich. Nas — to znaczy tych, którzy stojąc wobec konieczności decyzji — wojna czy pokój — wybierają pokój; którzy ten wybór utwierdzają w codziennej, twardej robotniczej walce — walce dokerów i pracowników tartaków, robotników z fabryki chemicznej na Hawks Prairie i polawaczy ślimaków z wybrzeży Pacyfiku.

O nich właśnie — o proletariacie walczącym — mówi powieść Clary Weatherwax, postępowej pisarki amerykańskiej, demaskującej nasilający się w latach trzydziestych proces faszystyzacji życia społecznego w Stanach Zjednoczonych. Czytelnik C. Weatherwax znajduje w jej książce szeroki wachlarz problemów. Wachlarz jest często skromny w rysunku i barwach — razi niekiedy szarą suchą faktografią, to znów naturalistycznym przekraskami opisów. Ale prawda o świecie, ale elementy poznawcze obrazu C. Weatherwax przesadzają o wartości książki. Nagrodzona na konkursie posterowego czasopisma amerykańskiego „New Masses” powieść ta stała się istotną rewelacją literacką lat trzydziestych. W warunkach walki ruchu związkowego w Stanach, walki toczącej się niemal wyłącznie na płaszczyźnie ekono-

micznej — internacjonalistycznej, rewolucyjna książka ukazująca płaszczyznę walki politycznej zasługuje na szczególną uwagę. Już w 1927 roku w rozmowie z I delegacją robotników amerykańskich Stalin zwrócił uwagę na małą liczebność ruchu związkowego w Stanach i słabość proletariatu amerykańskiego motywując ten fakt „słabością środków walki z kapitalistami w dziedzinie ekonomicznej” oraz zdradą polityczną przywódców, rekrutujących się „z arystokracji robotniczej”, opłacanej przez burżuazję.

Powieść „Będzie nas więcej”, ukazująca wszechstronną walkę proletariatu amerykańskiego, mówi o przełamaniu przekleństwa tradycji unionizmu, ciężkiego na ruch robotniczym Stanów, o odnalezieniu celu i sensu walki politycznej z faszystyzacją. Książka ta jest także odpowiedzią na pesymistyczne wnioski społeczne naturalistycznej prózy amerykańskiej. Jest protestem przeciw brakowi wiary w zwycięską siłę amerykańskiej klasy robotniczej, protestem przeciw mitowi steinbeckowskiego „proletariatu tylko cierpiącego”. W kontekście Caldwellów i Steinbecków, w kontekście pisarzy schodzących przedzie czy później na pozycje imperialistyczne, zastępujących coraz wyraźniej naturalistyczną deformację rzeczywistości świadomym jej zafałszowaniem — Clara Weatherwax reprezentuje kierunek biegnący różny. Przy pewnym nasiąknięciu naturalistyczną peryferycznością i skłonnością do biologicznego wynaturzeń powieść nie traciła realistycznej typowości i bojowego optymizmu.

Jest ponadto coś, co nie może nie uderzyć w książce amerykańskiej pisarki. To fakt niezwykle aktualności problematyki, żywości jej treści ideologicznej — mimo dwudziestu lat dzielących odbiorcę od poznawanych przez niego wydarzeń. Te same, znane dobrze dzi-

siejszemu czytelnikowi obrazy — pałki policjantów, koszar Haarle-mów i rozpetanej rasistowskiej nagonki, desperackie próby zażegnania kryzysu gospodarczego przez burżuazyjne rządy. W toku walki klasowej, w ponurym mroku kapitalistycznego świata krzepi i hartował się amerykański robotnik i inteligent odnajdując w tej walce wspólny język i wspólny nurt ideowy. Konsekwentna uparta walka z widmem grożącej wojny, rozpetanej przez imperialistów, była wyrazem dojrzwania tej świadomości. „Gazety są pełne gadaniny o tej gotowości (do wojny — przyp. mój) — mówi robotnik w powieści C. Weatherwax — pokazują filmy o przygodach żołnierzy, ale zwrócić uwagę na to, że nigdy nie pokazują zmasakrowanych amerykańskich chłopaków, są ostrożni, cholera, i nigdy o tym nie piszą... Szukają c'e, żeby bezrobotnych przeznaczyć na mięso armatnie. Tymczasem wznajna z farsą, którym gęby ociekają słodkimi słowami o pokoju, trzymają ręce pod stołem, żeby w odpowiedniej chwili pociągnąć za sznurki i zacząć nową wojnę, bo chcą zarobić jeszcze więcej farsy. Karmia nas różnymi bredniami przez radio i w gazetach, żebyśmy tylko się nie domyśliłi, o co chodzi, gładzą o inwestowaniu zysków wojennych, a potem nie robią. Straszą nagłówkami w pismach, żeby nas zwiść. Jak nie szczekają o „czerwonym niebezpieczeństwie” to znów grozą „złotym zalewem”. — Cały czas wyją przeciwko czerwonej fladze z Moskwy, a właśnie państwem, które rzeczywiście pragnie zachować pokój”.

Rezygnując z deklaratywności, z łatwiną ideologiczną C. Weatherwax nie uniknęła jednak omyłek artystycznych. Brak konsekwentnej fabuły, rozwijającej wszystkie rozpoczęte wątki, jest niewątpliwie po-

śliznięciem się autorki, nie pozwalającym jej na dostateczne pogłębienie postaci. Wprowadzenie do powieści przedruków z prasy burżuazyjnej i robotniczej nadaje zdarzeniom cechy autentyzmu, ale stanowi znowu rezygnację z obrazu na rzecz suchej, reporterskiej relacji. Ponadto Weatherwax nie udziwniając przedstawianego przez siebie świata schodzi jednak niekiedy na peryferie życia społecznego szukając na przykład — jak w wypadku głupiasa i matki — zwyrodnienia biologicznego. Skłonność do „marginowości” można również dostrzec w szczególnym upodobaniu do wynaturzeń środowiska lumpenproletariackiego.

Obok tych potknięć książka obfituje jednak w momenty celne artystyczne. Jedne i pełne niekłamanej pasji dialogi robotnicze, dowcipnie wplecione w tekst piosenki, a wreszcie głęboko realistyczne, całkowicie wolne od technizmu, niektóre opisy pracy (każda postać wnosi jakiś inny jej rodzaj) — stanowią bezsporne osiągnięcia autorki. W społeczeństwie kapitalistycznym praca nie „uszlachetnia” człowieka. Jest udręką i smutną koniecznością. Scen z życia polawaczy ślimaków, robotników tartaków, roznosieli gazet, wreszcie retrospektywny przegląd kolejnych zajęć Maria służą odślonięciu istotnego charakteru pracy w ustroju wyzysku.

W momencie przygotowań do nowej wojny przez imperialistyczne rządy Stanów Zjednoczonych powieść „Będzie nas więcej” staje się orężem w rękach ludzi walczących o pokój, stanowi ponadto jeszcze jeden cenny dokument nieustannych zmagani i walki amerykańskiej klasy robotniczej. Alicja Lisiecka

*) Clara Weatherwax „Będzie nas więcej”, Warszawa, 1952 r. — Czytelnik.

DYZMA GAŁAJ

„NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI”

(W sprawie starego i nowego w pracach miczurinowców)



Mam przed sobą listy wielu praktyków miczurinowców, powiatowych inspektorów Upowszechnienia Wiedzy Rolniczej oraz kierowników gminnych bibliotek. Reprezentują oni na ogół wszystkie regiony Polski, piszą o sobie, o swej pracy, osiągnięciach, aspiracjach, możliwościach, stosunku do otoczenia i na odwrót o zainteresowaniach. Zgłaszają projekty usprawniające pracę w omawianym tu zakresie, życzenia, a także prośby pod adresem naszej redakcji. Wypowiedzi potwierdzają fakt, że w nowej formie w ruchu miczurinowskim nie zawsze rozwija się nowa treść.

Oto kilka dowodów.

Większość kół miczurinowskich, a także pojedynczych doświadczalniaków robi doświadczenia w zakresie sadownictwa i warzywnictwa. Poszukiwanie sposobów, by uodpornić na mróz grusze, brzoskwinie, morele, śliwki, hodować szkółki, szczepić pomidory na kartoflach i w ogóle zakładać sady i warzywniki, to najczęstszy temat doświadczeń.

Pewna ilość kół prowadzi polską zbożową. Chodzi im przeważnie o wyszukanie najlepszego z istniejących już gatunków pszenicy, jęczmienia, grochu. Trochę jest tu aż nadto prosta: potrzebne im jest takie ziarno, które podniesie plon z hektara.

Znajdują się również koła, które zadają sobie okolicę uprawą różnych roślin przemysłowych. Są tam najprzeróżniejsze oleje z dyni, rzodkiewki, kapusty na czele, jest tam sorgo, rączniak, ryż.

Niewielka część kół robi próby z pastewnymi. Znany szerokim rzeszom chłopów Koltun Paweł z pow. Chełm Lubelski osiągnął ciekawe i znaczne wyniki w hodowli końskiej zęba.

Dodajmy do wyżej wymienionych kierunków doświadczeń nieliczne stosunkowo próby sprawdzające wartość nawozów sztucznych oraz próby uzyskania lepszych wyników w oborach, a będziemy mieli prawie kompletny zakres zainteresowań członków kół miczurinowskich.

Co w tych kierunkowych pracach jest miczurinowskiego, a co wstecznego?

Weźmy na początek sadowników i warzywników. Jeden z nich, ob. B. L. z ciechanowskiego, wykształcony sadownik ze sporym dorobkiem w sadowniczej praktyce, posiadający cydło dawna stosunki nawet z sadami dalekiej Kanady, członek spółdzielni produkcyjnej, zatapiający się — jak pisze — w działach Miczurina po polsku i po rosyjsku! skarży się, że ludzie nie interesują się sadownictwem, że autorytet jego słabo wzrasta, że „chciałby prosić władze o taskawę wydelegowanie (go) do Związku Radzieckiego w celu zdobycia większych doświadczeń i przeniesienia ich do Polski dla chłopów” i wreszcie dochodzi do wniosku: „Mój ogród to następny wniosek: „Mój ogród i szkółki chciałbym oddzielić od spółdzielni i stworzyć spółdzielnię ogrodniczą i stację doświadczalną i przenieść do nas wiedzę radziecką i miczurinowską. Obecnie radzą mną ludzie, członkowie niefachowi, często mi „przeszkadzają”.

M. K. 3-hektarowy chłop, chory, jest zamilowanym sadownikiem. Czytał Miczurina a potem złożył koło. Wydajność drzew w jego sadzie jest duża. Ludzie przychodzą pytać o różne sprawy sadownicze. Działalność społecznie nie rozwija. Narzeka na brak pomocy fachowej, na aktywistów, których waleń wleń się przejawiać nie w języku, lecz w gospodarowaniu. O pracy w kole prawie nie pisze. Wiadomo jednak, że coś tam szczepia, starają się ulepszyć, przekonali ludzi, że sad w kulturze daje nad podziw duże dochody.

Takich sadowników jak M. K. jest wśród ruchu miczurinowskiego 90 proc. Jest między nimi i W. W. z pow. Wysokie Mazowieckie, który w 1946 r. otrzymał od państwa 100 tys. zł pożyczki i na powierzchni 2 ha zasadził 800 niskopiętnych drzew owocowych. Sad prowadzony jest tak wzorowo, że wylotywały go

kiedyś nawet prof. Pieniążek ze swoimi asystentami.

Są i tacy, którzy w doświadczeniach prowadzonych przez siebie niczym nie różnią się od M. K., czy W. W., ale którzy nieco inaczej dostrzegają swoją rolę wobec gromady. Ob. D. J. po opisie bardzo skądinąd ciekawych doświadczeń z irzewami owocowymi pisze: „Założyliśmy koło miczurinowskie i prowadzimy je na 20 arach dla gromady” — „w gromadzie z ciekawością przyglądają się naszej robocie. Większość uważa nasze koło za początek spółdzielczości rolniczej i dlatego zajęła stanowisko ostrożne — wyczekujące. Z naszym zdaniem na zebraniach liczą się i prawie zawsze popierają nas, uważając nasze koło za organizację pożyteczną”.

Porównajmy te dwie grupy. Ob. B. L. z Ciechanowskiego prosi o wyjazd do ZSRR w celu pogłębienia wiedzy, a z drugiej strony źle mu w spółdzielni, bo go tam nie doceniają, kierują nim nie fachowcy. Twierdzi, że w spółdzielni nie ma miejsca dla ludzi z takim jak on wykształceniem, z taką wiedzą jak jego. Czy jego wysiłki sadownicze pozostają w zgodzie z tym, co dzieje się w Polsce, z tym, co narasta i budzi się coraz potężniej do życia na wsi? Czy jego praca pomaga w rozwoju nowego? Nie trudno stwierdzić, że jest odwrotnie. Jeśli przodujący chłop-społdzielcy nie okazują mu szczególnego szacunku za jego wiedzę ogrodniczą (a ma ją nie mała), to znaczy, że wiedza ta staje na przekór temu, co dla chłopów-społdzielców jest najważniejsze, staje mianowicie przeciwko ustrojowi, przeciwko nowemu. Z końcowego wniosku ob. B. L. widać to zresztą wyraźnie. Źle mu, powiada, w spółdzielni, a komu w tego typu gospodarstwie jest źle?

I B. L., i M. K., i W. W., i wielu innych sadowników z kół miczurinowskich patrzy na świat, a widzi gruszkę, patrzy na gromadę i gminę, a widzi swój sad i szkółkę. Jeśli ich zapytać o życie drzew czy warzyw, wyjaśnią rzecz jak najdokładniej, ale ich świat, to własny sad, własny ogród własny z niego dochód i osobista satysfakcja. Nie obchodzi ich fakt, że zamiast 10 kg owoców przypadających na głowę w Polsce wino przypadać ich co najmniej 50 kg i nie mają potrzeby myśleć o tym, co zrobić, by owoców było wbród. Uspokajają się dużą wydajnością własnej jabłoni, czy śliwy. Oczywiście, duża wydajność własnego sadu to bardzo dużo dla kraju, ale znacznie więcej przysporzyłoby dobra naszemu społeczeństwu ob. W. W. gdyby kontaktując się z prof. Pieniążkiem kierował nie 800 własnymi drzewami, ale 20 tysiącami w spółdzielni produkcyjnej.

Czy doświadczenia tego typu członków kół miczurinowskich reprezentują nowe? I tak, i nie. Tak, bo niewątpliwie zrywają z tradycy-



nymi poglądami uważającymi za najlepsze drzewo owocowe gruszkę polną na miedzach chłopskich pól, i nie. Nie bo zaskłapią uczestników doświadczeń w wąsko indywidualnych zainteresowaniach, zamiast wiązać ich z ołnionarodowym procesem uspołeczniania warsztatów produkcyjnych, powodują proces odwrótny, proces tworzenia rezerwy obronnej gospodarstwa chłopskiego, która się broni przed ruchem spółdzielczości produkcyjnej mrozoopornymi brzoskwiniami i szczepionymi na ziemniakach pomidorami, broni się podnoszeniem kwalifikacji specjalistycznych.

Polećka zbożowa są prowadzone metodą dosyć tradycyjną. Szuka się na nich sposobów osiągnięcia większych niż dotychczas urodzajów. A więc zainteresowania idą w kierunku gatunku zboża, najbardziej odpowiedniego danemu regionowi, a przede wszystkim pszenicy, sposobu siewu, nawożenia.

Ciekawe jednak, że wielu autorów listów oprócz samego doświadczenia mającego w konsekwencji podnieść wydajność z hektara stawia krok dalej i wyraża, jak np. S. S. z pow. Brodnica, stwierdza, że „podnieść produkcję rolną można przede wszystkim przez założenie spółdzielni produkcyjnej”. Oczywiście samo doświadczenie na kilku metrach kwadratowych nie może nie doprowadzić do myśli, jak metody polećki zastosować na wielką skalę, jak podnieść produkcję na polach całej gromady czy powiatu. Ci z członków kół, którzy dochodzą do takich myśli i odpowiadają na nie, jak S. S. z Brodnicy — są miczurinowcami, ci zaś, którzy plecami odwracają się od tego jedynie słusznego w naszych warunkach drogowym, są ludźmi wczorajszego dnia mimo ich wysokiej nieraz wiedzy fachowej. Ich wiedza bowiem nie jest wiedzą walczącą o prawo do kierowania szeroko praktyką, o prawo rozwijania produkcji nie dla wystawy rolniczej, czy dla wypełnienia własnego śpiżnika, lecz dla zaspokajania ciągłego rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa. Są oni ludźmi na swoistym rozdrożu. Wyszli już z Ciernogrodu, ale nie dotarli jeszcze do krainy ludowej myśli ludzkiej. Niezdolni do życia, do staremu, nie mają jeszcze siły i odwagi na pełne przyjęcie nowego.

Z pastewnymi prób jest niewiele, podobnie jak niewiele stosunkowo wysiłku wkłada się w ulepszenie metod hodowli inwentarza żywego. Kilka zalety listów mówi o walce w zakresie hodowli.

Ale znamienią jest rzecz, że wy-

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

„SWEGO NIE ZNACIE!”

(List otwarty do kol. Czesława Dziewońskiego z Jerzmanowic — pow. Olkusz)

DROGI Kolego!

List ten — jeżeli chodzi o termin — jest mocno późniony. Ale sprawa, którą w nim chcę poruszyć, jest ciągle aktualna.

Piszecie do nas w swej korespondencji o agresywnej polityce USA, o wypadkach na Korei, w Vietnamie, Egipcie, Tunisie, przy okazji omawiacie problem ucisku i wyzysku kolonii i krajów zależnych. Przeciwstawiacie dążeniom imperiałów kraje obozu pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele, mówicie o wielkiej pomocy gospodarczej ZSRR dla krajów demokracji ludowej. Widać, że orientujecie się w polityce międzynarodowej.

Piszecie o naszym budownictwie socjalistycznym w kraju, o planie 6-letnim w ogóle i w rolnictwie, wreszcie o Pałacu Kultury, o Warszawie, o Nowej Hucie, o powstających szkołach, szpitalach itd. Widać, że orientujecie się w polityce naszego państwa.

Ale kiedy dochodzicie do spraw własnego terenu koniec z dobrą orientacją.

„Wioskę Jerzmanowice zaliczyć trzeba do wioski postępowych w ogólności. Chłopi coraz częściej i liczniej stosują różne nawozy sztuczne, lepiej uprawiają ziemię... Chłopi jerzmanowiccy w ub. r. sprzedali państwu więcej zboża, ziemniaków i mleka, czy innych produktów rolnych niż tego od nich państwo wymagało”.

„Jerzmanowice to wioska postępową w ogólności”. W jakich zatem szczegółach, jeszcze nie postępowo? Jak rozumieć sformułowanie, że chłopi częściej i liczniej stosują różne nawozy sztuczne? Czy częściej i liczniej w stosunku do czasów przedwojennych, czy w stosunku do roku np. 1951? Jakże nawozy, dla czego i kto stosuje? Ile zboża, ziemniaków i mleka oraz ile i jakich innych produktów sprzedali ponad plan chłopi z Jerzmanowic? Kto sprzedał, dlaczego i kiedy? Brak tych faktów. A fakty to argumenty!

Piszecie: „Większość jerzmanowickich chłopów mało- i średniorolnych doszła do przekonania, że system gospodarki zespolowej jest bezwzględnie lepszy od gospodarki indywidualnej w rezultacie świadczyłoby to o tym, że już w niedługim czasie spróbują oni zorganizować pomimo niechęci i oporu niewielu zamożniejszych gospodarzy spółdzielnię produkcyjną”. Większość doszła... w rezultacie świadczyłoby to... mimo oporu itd. Przypomina to nam tekst formułki, a gdzie opis? Bo kto jest przekonany i przez kogo? Jaki jest polityczny aktywność w gromadzie, zdolny rozegrać z urogiem klasowym rozstrzygającą bitwę? Ilu tam macie „zamożniejszych”, w czym się wyraża ich niechęć i opór? Rzućcie gromy ze słuszną pasją na spekulantów i kulaków „w ogóle”, ale dlaczego nie charakterystycznie działalność i sprawa spekulatorów i kulaków jerzmanowickich? Demaskujecie szczełaczki amerykańskie w zupełnym oderwaniu od szerzycieli „Głosu” w Jerzmanowicach i okolicy. Czyż więc orientujecie się w przebiegu walki klasowej w Waszej wsi?

W liście nie piszecie ani słowa o Józefie Poganie, który w Jerzmanow-

icach urodził się, żył przez szereg najcięższych dla wsi polskiej lat przedwojennych i wydał o tych czasach kilka tomów opowiadań. Szczególnie pamiętnik „Na głównym zagonie” stanowi kronikę wszystkich zagony jermanowickich. Znamy chałupę wdowy po wyrobniku, Kantorowej, na nowsiu, chałupę dzumorgowca Stacha Łojewskiego i jego „cztery córki na wydaniu”, rzucające losy o to, której przypadnie jako wiano stara krowina. Wiemy, że w kucce na Dębowej Górze szewc Jan Kantor ze starą małką, dwoma braćmi i kilku synami „bez soli jedli i po łku zamiast mydła używali”. Pamiętamy obraz nędzy i upodlenia przed wojną Jędrka Mrozowskiego „tóry „bezustannie wylatywał cepami nad swoją duszą u bogaczy — a nędza zamiast folgować, jeszcze się pogarszała. Motylką ciupał ziemię, taczka gnój wozł w pole, a często nawet w workach z żoną go wynosili. Gnojówka ciekła im po plecach, ale trudno, nie było pieniędzy na najem konia”.

Ci ludzie żyją przecież teraz w nowych Jerzmanowicach. Żyją ich dzieci, młode, wyrastające już w odmiennych warunkach pokolenie. Z takich zagonyarzy, nędzarzy i wyrobników „wylatyjących cepami nad swoją duszą u bogaczy” kimże się stali w Polsce Ludowej? Piszecie: stosują nawozy sztuczne, lepiej uprawiają ziemię, ponad plan podstawiają obowiązkowe dostawy, nawet w większości są przekonanymi do spółdzielni produkcyjnej. Pokażcie to! Ale pokazać wychodząc od konkretnej przeszłości tych zagonyarzy, noszących przeżożną gnój na plecach. Pokażcie, u kogo z nich gra radio w izbie, jeżeli piszecie, że Jerzmanowice są w 50 proc. zradiofonizowane? Kto korzysta z założonej izby porodowej w Waszej wsi? Co oznacza dla nich powstanie Urzędu Pocztowego? Kto tu korzysta? Który z dawnych zagonyarzy i wyrobników pracuje w Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Jerzmanowianka” i co tworzy? To nie są drobnotki. Pokażcie to, to znaczy pokazać, jak przeobraża się świadomość biedoty razem ze zmianą jej warunków życia, jak w Jerzmanowicach pogłębia się walka klasowa, jak rośnie socjalizm.

(Dokończenie na str. 5)

HENRYK WORCELL

Nie tylko o moją - o naszą sprawę!...

(Dzieje III etapu Konkursu Czytelniczego, opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne - część siódma)

NAZAJUTRZ po wieczorze u Puławskiej, zamiast zapowiedzianego przez Zę Mitrę, zjawił się gość, którego wcale nie oczekiwałem — soltys Pietrycki ze Zdarzyce Górnych. Ani m. brat, ani swat, ale zupełnie obcy, bo nieraz z nim rozmawiałem w gminie, w pociągu, we wsi. Poznałem go pięć lat temu. Wówczas wybrano go soltysiem i jak slyszalem przez dłuższy czas pracował bez zarzutu. Przedwojenny sierżant, z zawodu stelmach, partycypował trochę przy poniemieckim warsztacie, trudnił się też warsztatem. Swych reszekających poglądów nie ujawniał dopóki się nie pokumał z Szyszką i całą resztą mniejszych szyszczek. Z biegiem czasu nabierał coraz więcej śmiałości i pewności siebie, aż stał się tym, czym jest: wszechwładnym w swej gromadzie kacykiem i zaprzędanym sojusznikiem ciemnych mocy gnieźdzących się w Prezydium PRN.

Przyjeżdżał do mnie z rana, na pół godziny przed odejściem pociągu do Żelaznej Wody — miał jechać do gminy. Wszedł jakoś niezgrabnie — w uśmiechniętej twarzy nie widać było gniewu, ironii, pokora, lekko. — Ja chciałem się pana o coś poradzić...

— Słucham...

— Niech mi pan powie, co trzeba robić, jak ktoś na mnie nalatuje, chce mi zaszkodzić, no... pisze na mnie do gazet różne głupstwa, a to wszystko nieprawda.

Nie chciałem udawać, że nie wiem, o co chodzi i pytać się, kto i co pisał, bo on przecież wiedział, że ja redagowałem list do „Chłopskiej Drogi”. Istotnym chyba powodem jego wizyty u mnie była chęć wywiedzenia się, jakie sprawy w o-wym liście poruszono i czy niebezpieczeństwo groziło mu z tej strony. Jest wielkie. Poza tym liczył się i ze mną jako korespondentem, który może za dużo wiedział o Zdarzycach Górnych. Odpowiedziałem mu, że jeżeli rzeczywiście napisano kłamstwa, oszczerstwa, to trzeba oszczerców pociągnąć do odpowiedzialności sądowej.

Tak, ale widzi pan, tu chodzi o to, żeby zaważać... Pan wie, jak to jest: jak się wyjdzie na wieść i rozpuści pierzynę, to już wszystkich pior się nie pobiera. Zepsuć komuś opinię łatwo, ale naprawić... Moja gromada w powiecie najlepiej stoi, podatki pilnie, skupu i co oni, swinie, rzyją? Co ten Mitrę chce?

— Nie tylko Mitrę, tam więcej ludzi ma do was pretensje.

— A wiem, panie, kto podpisał...

— Ja kto panu powiedział o tym liście?

— To już moja rzecz, kto powie-

dział. Wiem, że Mitrę najwięcej kopie.

— On ma do pana żal o to gospodarstwo.

— A czy ja winien, że mu Rada Powiatowa nie chce załatwić? Jego wina, bo domu nie remontował, jeszcze może za to beknąć. A ja jestem w porządku, bo jakem dzierżawił pole, tam płacił za n.e. O — wyciągnął z portfela jakieś papiery — tu mam kwity, nikt mi nie może zarzucić, że nie płacił. A co do Topolskiego, to byli tu kłedy z Dzierżanową i jeszcze mu pochwałę dali za tego ogiera, że go dobrze utrzymuje. I co oni tam jeszcze panie, pisali?

— To już ich rzecz, co pisali. Zresztą, w swoim czasie na pewno się pan o wszystkim dowie.

— To ja i tak wiem. Ja się nie boję, ja mam dobrą opinię w powiecie i jak do czego przyjdzie, to Mitrę wsiąknę. Może mu pan powie, że ja też znam jego kawały, on też nie jest czysty. Każdy ma coś na sumieniu i niech on lepi siedzi cicho, bo przegra.

— On już nie może siedzieć cicho. Czy może pan chce, żeby on napisał do „Chłopskiej Drogi” jakieś sprostowanie, czy jak?

— Co zrobi, to jego rzecz, ale niech mu pan powie, żeby się u spokoił, bo nie wygra. Narobi tylko niepotrzebnego szumu i sam oberwie.

— Słuchaj pan — zwróciłem się doń bardziej zły na siebie niż na niego — Mitrę będzie u mnie. Powtórzę mu to, co pan mówił. Tak, powtórzę. Niech się wyjaśni, kto tu winien: wy, czy oni. — I może pan być pewny, że ja sam do tego będę dążył.

Spojrzał na mnie z błyskiem zaciekawienia i niepokojem, zerknął na zegarek, podał mi rękę na pożegnanie i poszedł.

W południe zjawiły się dwie kobiety: stara Potyrałka i Krasicowa — matka przewodniczącego ZMP. Pierwszej napisałem podanie do Wojewódzkiej Rady w sprawie, o której mówiliśmy wczoraj wieczór, a z Krasicową była zupełnie inna historia: chodziło jej o maszynę rolniczą. Soltys bowiem i jego poplecznicy zawsze uderzają tam, gdzie najsłabszy opór, więc i w tym wypadku, gdy chodziło o zdobycie maszyn dla Gminnego Ośrodka Maszynowego, zamiast szukać ich tam, gdzie one są naprawdę potrzebne, jak np. u Podsiadły gdzie i ludzi sporo do pracy, uderzyli we wdowę borykającą się na pełnorolnym gospodarstwie.

— Ośrodek dobra i ważna rzecz — mówiła Krasicowa — ale niechże zastanowią się, co robią. Kosiarke i siewnik, to mi nawet przyznano na własność, mam akt nadania, a teraz

mam je zdać do GOM? A syn pisał upoważnienie do powiatu, to nawet nie odpowiedział.

— Zrobimy tak, że będą musieli odpowiedzieć. Wyślemy pismo do Wojewódzkiej Rady.

Ledwie skończyłem pisać i odprawiłem obie kobiety na pocztę, gdy nadszedł Mitrę.

— Co to, słyszałem, że Pietrycki u ciebie był? — zapytał od progu.

— Był i odgrażał ci się — odpowiedziałem z udaną surowością. — Bo zdawałoby się, że tam jeszcze inne rzeczy masz na sumieniu.

I teraz jedno z dwójga: albo wyślesz do „Chłopskiej Drogi” sprostowanie, że to wszystko, coście pisał, jest nieporozumieniem i że Pietrycki, to zasłużony aktywista, albo... no, albo będziecie wisieli.

Uśmiechnął się, usiadł:

— Nie, to już wolę wisielić.

— Zart żartem, ale powiedz prawdę: co masz na sumieniu?

— On mnie tylko o jedno może zaczepić, że trochę poniemieckich, desek sprzedał. Ale to jest nic, dom na tym nie ucierniał, przecież muru nie będę deskami podpięrał. Zresztą, co to za gadanie? Choćbym nawet coś przeszkrobał, to on mi przez to żeby nie zamknę.

— No dobrze, ale powiedz mi jeszcze jedną rzecz: gdyby on ci nie robił trudności ze zdaniem gospodarstwa, ruszylibyś go, czy nie?

Pomyślał chwilę i rzekł:

— Myślę, że tak. Może nie teraz, może trochę później, ale ruszyliby. Razem z Bednarczykiem i Lasoniem.

— Bo rozumiesz, przychodzą różni ludzie — ot, dopiero co były tu dwie kobiety, żeby im pisać skargi i wtedy każą pisać wszystko, co wiedzą. Ale przychodzą dopiero wtedy, gdy ich bieda przycisnie, kiedy im ktoś zrobi krzywdę. Nie raz mam ochotę z krzykiem do nich: czemu dopiero teraz! czemu nie wcześniej! Przecież wiedzieliście, co się we wsi dzieje, toście patrzyli spokojnie, nie robili alarmu!

— Boją się ludzi...

— Nie powiedziałbym; nasi ludzie nie są strachliwi. Tu jest co innego: brak uspołecznienia, tego uspołecznienia w życiu codziennym, powszednim. „Niech się dzieje co chce, niech sąsiad woda zaleje, byłem ja miał spokój, byłem miło było dobrze”. To tak, jak gdyby każdy sobie chciał budować tamę przed powodzią, każdy przed swoim ogródkiem, a przecież w ten sposób powodzi nie wstrzymają.

— To prawda — przyznał Mitrę — to wedle tego, co czytalem to... oportunizm. A masz jeszcze jeden kwiatek. Pietrycki odmówił nauczycielce Jasińskiej swego udziału w konkursie.

Mówił przed sklepowym, że jak

się zmieni sytuacja, to taki papłerek...

— Aha — przypomniałem sobie — słyszałeś o arsztozwaniach w powiecie?

Nie, nie słyszał, więc opowiedziałem mu. Zrobiło to na nim wielkie wrażenie i podniosło na duchu.

— No widzisz — powiedziałem — twoja „Republika Dzierżanowska” daje sobie radę.

— Ano, spróchniały ząb wyrwano, ale korzonki jeszcze siedzą. Ciekawym, kto wejdzie na miejsce Boczańskiego i Hrynczuka? Słyszałem, że Partia w powiecie bierze się do roboty, krytykuje ostro.

W ciągu następnych paru dni nic nadzwyczajnego nie zaszło. Tylko Pietrycki zwił się jak w ukropie, codziennie widziałem go, jak zdążył do pociągu lub wracał od stacji — jeździł do gminy, do Szyszek, do swoich protektorów. Widziałem go też w towarzystwie soltysa Grubeego, kowala Piwnickiego i gminnego instruktora rolnego Smoczka, o którym nie zbyt pochlebne opinie obili mi się o uszy! — w czworak stali przed kuźnią i o czymś nader żywo rozprawiali rzucając w moją stronę nieprzyjazne, zamaskowane jakby spojrzania.

Wreszcie czwartego dnia Pietrycki znów zjawił się u mnie.

— No i co, mówił pan z Mitrę?

— Zapytał dość obcesowo.

— Mówiłem. On panu radzi, że-

JAN WYKA

Wierzyby nad Wisłą

Na mazowieckiej, wyciętej równinie rryśm odważnym najlepiej się rośnie. Może sąsiedztwo Warszawy wierzybinie do szumu wlewa pieśń o nowej wiosnie.

Wierzyby Mazowsza są mędrze, dojrzale, w piasek, gdzie wgrzybić się, uciepić najtrudniej, wplotą się, rosnąc z upartym zapalem, a przy pniach szorstkich Wisła wodą dudni. Gdy wierzyba szłocha — przeszedł pod wichurą wracając męki, głód cierpi, przednówek, harówka, ziarno w folwarcznych pazurach, głodnych dziecięcych róg spragnionych główek.

Toteż napina liście struną ostrą i dumki snuje jak trzmiel na łące, opowieść nuci strątków w głodnych wioskach, dlatego ją tu nazwali placzącą.

Dziś ci zanuć, że Wisła da ogień, paliwo płynne, zebrane w zaporze, węgiel wiślaną wsie oświecił, drogi, koparka zębem piaszczysty grunt zorze. Że im już nie stać przy ścieżkach, na miedzy, gdy traktor łączy spóldzielcze zagony. Oto spóldzielczej krótki wykład wiedzy w szumie listowia, co się chatom kłoni.

Rys. Bogdan Butenko

WACŁAW SMOLAK

Z E T W U E M O W C Y

ZDZISŁAW przyjechał złożyć w Osowie koło ZWM. Przed zebraniem chodził do wielu domów. Gospodarze znali go, rozmawiali z nim o gospodarce, bandach i wydarzeniach politycznych. Młodych chłopów przekonywał o konieczności zorganizowania koła ZWM. Spotykał się przeważnie z niechęcią. Kiedy mówił o możliwościach nauki, nie chcieli słuchać. Co im da szkoła? Buty czy palto? Gospodarzyć można bez nauki.

W jednym domu Dzdzisław zastał chłopca nad zeszytami powieści: *Tajemnica zamku Sewilla* de Rodriganda, w innym dziewczyna czytała rodzinie na głos książkę Courts-Mahlerowej, a na stole leżał „Czarny ląd” Marczyńskiego. Młodzież zachwytowała się sensacyjnymi powieściami, cieszyła się każdym zabitym z czoła Indianinem, płakała nad tragedią zawiedzonego kochanka.

Wieczór zapadł, gdy Dzdzisław wrócił do matki. Postawił rower, przeknął kolację i poszedł do kierowniczej szkoły.

Pani Onuczińska zastała w jej mieszkaniu szkolnym. Miała jeszcze tuż przy szkole własny domek. Miał jej pełnić funkcję soltysa. Pokój w szkole, prawie komfortowo umeblovany, mówił o ich zamożności.

— Chciałbym omówić z panią możliwości zorganizowania we wsi Koła ZWM — zaczął Dzdzisław. — Pani i mąż cieszyli się zaufaniem ludzi, przyszedłem więc prosić o pomoc.

— Koło ZWM? — spytała Onuczińska, jakby nie dosłyszała.

Tak, Koło Związku Walki Młodych.

Onuczińska zamyśliła się rzucając na Dzdzisława badawcze spojrzanie.

— Ja także myślałam o zorganizowaniu koła, na przykład świetlicowego — odpowiedziała — ale do-

szłam do wniosku, że praca moja nie da żadnych rezultatów. Okupacja zdemoralizowała młodzież i jest ona dla nas stracona.

— Nigdy się z tym nie zgodzę — zaprotestował żywo Dzdzisław. — Dorosłych ludzi można wychowywać, a tym bardziej młodzież. Teraz piją, bo nie mają żadnych rozrywek. Gdy załamy światlice, pójdą do niej.

— Nie przekonano mnie pan — przerwała mu nauczycielka, Dzdzisław umilkł. Nie zamierzał rezygnować z pomocy pani Onuczińskiej. Chciał, żeby była przynajmniej na

zebraniu i powiedziała kilka słów do młodzieży.

— Nie pomoże mi pani? — spytał wprost.

Zawahała się. Bała się manifestować swoje poglądy polityczne.

— Jakiej pan żąda pomocy?

— Chcę prosić o pomoc w zorganizowaniu młodzieży i opiekę nad nią.



— Próbowałam tego i wiedzę nie zamierzam psuć sobie zdrowia.

— Ale na zebranie pani przyjdzie?

— Na zebranie... — namyślała się zlorzeczając w duchu uporowi tego peperowca.

— Odbędzie się w szkole, tylko kilka kroków — nalegał Dzdzisław.

— Przyjdę — odpowiedziała nareszcie.

Dzdzisław wstał.

— Bardzo dziękuję. Zajądę po pania.

— Dziękuję, trafi sama.

Kunicki wyszedł.

W sali szkolnej nie było nikogo. Zapalił zapałkę i przy jej świetle szukał lampy. Wiedział, w którym miejscu na ścianie wisiła, lecz jej nie znalazł. Wrócił do szkolnego mieszkania Onuczińskiej, drzwi jednak były już zamknięte. Domyślił się, że usiłowane mu przeszkodzić w zwolaniu ze rana. Wyszedł na podwórze i tu spotkał soltysa. Spytał go o lampę.

— Jest w klasie — odpowiedział Onucziński. — Powiesiłem ją przed pół godziną na ścianie.

— Chodźmy, poszukamy razem — powiedział Dzdzisław, choć wiedział, że jest to bezcelowe.

— Ktoś ją ukradł — powiedział soltys rozejrzawszy się po sali szkolnej.

— Może żona zabrała do domu?

— Na pewno nie.

— Może pan pożyczyc swojej?

— Jedną tylko mamy, będzie nam potrzebna.

Dzdzisław postanowił pójść po lampę do matki. Zraz jednak rozmyślił się i udał się do domu soltysa.

Chciał spotkać nauczycielkę i upewnić się, że przyjdzie na zebranie. W kuchni zastał służącą i obie lampy — soltysa i szkolną.

— Pani nie ma? — spytał Dzdzisław.

Nie. Pewno wyszła do sąsiadów. Potrzebuje przecież po pracy porozmawiać.

— Owszem, owszem — przytaknął z uśmiechem Dzdzisław. — Chciałem zabrać lampę do szkoły.

— Zanim się sama.

Szła przodem, zasłaniając ręką światło przed lekkiem wietrzykiem.

— Ja też przyjdę na zebranie — oznajmiła służąca. — Ciekawe posłuchać, o czym będą mówić. Pan dał mi na wieczór dużo pracy, ale się uwinę.

Chciałbym, żeby została u was zorganizowane koło młodzieży — odpowiedział zamyślny.

— Czy to będzie czas chodzić na to — zmartwiła się, lecz zaraz wesoło zaśmiała się. — Zresztą czas się znajdzie. Jak będzie we wsi takie koło, to i zabawę można zrobić i przedstawienie... zapiszę się.

— To powiedzcie o tym na zebraniu kilka słów, że to i zabawa, i przedstawienie. Dobrze?

— Przecież pan o tym powie.

— To nic. Oni was znają i lepiej rozumieją.

Dzdzisław usiadł w ławce, oparł się łokciami na pulpiciu i wsparł głowę na dłoń. Szukał słów, którymi miał przemówić do młodzieży, tak aby go zrozumiała. Szukał przykładów ze wsi, aby pokazać jej, ile czasu marnuje niepotrzebnie, i udowodnić, że pożyteczniej spędzi go w świetlicy, którą można zorganizować w poukraińskim domu (znalazł już odpowiedni i chciał go im wskazać).

Młodzież przyszła rozmawiając głośno. W progu wszyscy zatrzymali się i umilkli. Wahali się.

— Wejdźcie, proszę — Dzdzisław zapraszał ich do środka. Był uradowany.

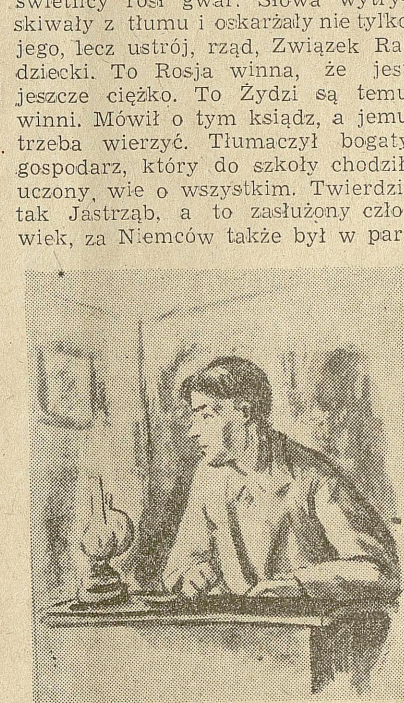
Witali się z nim w milczeniu. Siadali na ławkach i palili papie-

rosy kręcone z samosiejki. Przychodzili inni. Kilku chłopów przysiadło się do dziewcząt. Szczypane przez kolegów, chichotały zawstydzone przy wzrocie ogólnego śmiechu. Minęły niemal dwie godziny, zanim zeszli się wszyscy. Brakło tylko Onuczińskiej. Ostatni przyszedł jej mąż i oznajmił, że żona zachorowała.

✱

Czy są jakieś pytania? — zwrócił się Dzdzisław do zebranych po zakończonym przemówieniu.

Długo nikt nie przerywał ciszy, a potem burza głosów zerwała się nagle na okrzyk pijanego mężczyzny z kąta sali. Wszyscy wstali. W świetlicy rósł gwar. Słowa wytryskiwały z tłumy i oskarżały nie tylko jego, lecz ustrój, rząd, Związek Radziecki. To Rosja winna, że jest jeszcze ciężko. To Żydzi są temu winni. Mówił o tym kłósz, a jemu trzeba wierzyć. Tymczasem bogaty gospodarz, który do szkoły chodził, uczony, wie o wszystkim. Twierdził tak Jastrzab, a to zasłużony człowiek, za Niemców także był w par-



tyzant. A do kolchozów nikt nie pójdzie, bo biedny nie chce. „Nie, nikt nie chce Związku Walki Młodych ani komunizm”. W Niech ludziom ze wsi dadzą spokój...

Powoli się uciszało. Teraz wszyscy skierowali wzrok na Dzdzisława. Czekano, co powie.

A jego dusza wściekłość na ich ciemnotę. Lży cisnęły się do oczu i wietrzył całą wolę, aby się uspokoił.

Mówił po kolei o bogactwie, księdzu i Jastrzębiu. Kobuskę spytał, z czyjego zboża jadła chleb rok temu. Wiedziała, że z radzieckiego i nie mogła zaprzeczyć. Nie mogła też zaprzeczyć, że bogacz jada biały chleb z kłobasą wiedzy, gdy im bra-

by sobie pan z nim porozmawiał na zebraniu gromadzkim. Z nim, z Bednarczykiem, z Lasoniem, z Musiałkiem, Bryją i tam jeszcze innymi.

— Aha... Pietrycki jakby się cofnął — no to ja też potrafię Mitrę usadzić. I temu złodziejowi Bednarczykowi też gębę zamknę. Pan myśli, że ja nie wiem, kto swinie Smałowowi ukradł? A po buraki kto po nocy do majątku jeździł? Panie, to się wszystko wyjaśni — zakończył takim tonem, jak gdyby to ja właśnie po owe buraki jeździł.

— Macie na to dowody?

— Mam. I jak będzie trzeba...

— Aha, jak będzie trzeba... A dlaczego pan wcześniej tego nie ujawnił? Czemu pan ukrywał przebieg? Cóż z pana za soltys?

— Bo ja nie chcę nikomu szkodzić, nie chce, żeby ktoś na mnie narzekał. Ale jak ktoś jest swinia i pode mną rzyje...

Trudno z tym człowiekiem rozmawiać, trudno bić w niego argumentami, powoływać się na jakieś zasady moralne. Zniecierpliwiony machnął ręką i odszedł od okna.

— Tak?... To znaczy, że cudze grzechy służą wam dla zabezpieczenia własnych. Nie... na święty spokój więcej nie liczcie, będziecie przed gromadą odpowiadać.

Henryk Worcell

Kronika Radziecka

70-lecie urodzin Gładkowa

ZNAKOMITY pisarz radziecki, Teodor Gładkow, znany szeroko wśród milionowych rzesz czytelników obozu postępu na świecie, czytany i ceniony również w Polsce, ukończył 70 lat.

Teodor Gładkow urodził się 20 czerwca 1883 r. we wsi nadwołżańskiej w rodzinie biedniackiej. W r. 1901 ukończył szkołę powszechną, później Instytut Pedagogiczny. Pracował jako nauczyciel napieru na Syberii, później na Kubaniu. Wcześniej związał się z ruchem leninowskim, niejednokrotnie był prześladowany. W 1920 roku wstąpił do partii.

Droga pisarska Gładkowa rozpoczęła się w r. 1899. Na talent pisarza zwraca uwagę Gorki, wielki doradca i wychowawca proletariackich pisarzy. W okresie przedrewolucyjnym talent Gładkowa rozwijał się w kręgu wydawniczo-wychowawczej pracy autora „Matki”. Gładkow bierze udział w wydawnictwach bolszewickich i w redakcyjnej pracy Gorkiego „Kronice”.

Pierwsze utwory Gładkowa obrazują życie proletariatu, jego niedolę w ustroju kapitalistycznym i podjętą walkę z wyzyskiem. Miłość do ludu, wiara w rewolucję i wyzwolenie — oto źródła natchnienia Gładkowa.

Jednakże talent Gładkowa rozwija się bujnie dopiero po Październiku. Wielka Rewolucja Socjalistyczna wielokrotnie zalety pióra Gładkowa otwierając przed proletariackim pisarzem obszary nowej historii, ukazując wielość tematyki walki o budownictwo socjalistyczne.

W 1925 r. ukazał się głośny „Cement”. Gładkowa, powieść o wielkiej pozycji w literaturze realizmu socjalistycznego. „Cement” i w Związku Radzieckim, i dla robotniczej walki w kapitalistycznym świecie odegrał olbrzymią rolę: uczył, co może przynieść budownictwo socjalistyczne, jakie perspektywy otwiera przed człowiekiem. Po raz pierwszy ukazana została potęga wyzwolonej pracy. Klasa robotnicza wystąpiła w powieści jako siła budująca nowy ustrój i nowe formy życia.

Naczelny bohater powieści — Głeb Czumałow, wraca z frontu do zakładu pracy, w którym kiedyś pracował i który teraz zdążył się do ruin własną pracą i ofiarną miłością. Roboty wiele i to wśród uporczywej, trudnej walki! Trzeba było przezwyciężyć bierność robotników, którzy zatrucili wieś z kolektywem, należało unieszkodliwić sabotaż tej części starej inteligencji, która nie przyjęła Rewolucji i przeszła na pozycję wroga klasowego. Czumałow podejmuje walkę o odbudowę fabryki. W złożonych warunkach konfliktów antagonicznych (w działaniu niedobitki klas posiadających, odrywają się burżuazyjne pozostałości w psychice robotników), Czumałow występuje jako umiejętny organizator życia mas, wychowawca, bolszewik. Fabryka i rusza — jest to symbol triumfu młodych sił budujących nowe życie. Pisarz pokazał znakomicie, jak w procesie walki o odbudowę fabryki łamie się wszystko, co stare i przeżyte, a zwycięża nowe. Pod tym względem „Cement” jest pierwszą powieścią radziecką, odzwierciedlającą wpływ wyzwolonej pracy na kolektyw robotniczy, charakter człowieka. Książka ukazującą przedmiotów pracy pełnię jednoczesną oportunizm i biurokracizm, który potrafił zakraść się nawet do szeregow partijnych. „Cement” podejmuje walkę o czystość szeregow partijnych. W powieści po raz pierwszy odmalowana została postać owej kobiety radzieckiej — Daszy.

W latach 1932—1938 tworzy Gładkow „Energia”, powieść o budowie Dnieprostroju. Pisarz odniósł tutaj zwycięstwo klasy robotniczej w zakresie opanowania techniki. Budowa Dnieprostroju w oparciu o technikę socjalizm, kształtująca się w tym kręgu stosunki między ludźmi — wypełniają treść książki. Opisując pracę kolektywu Gładkow umiał ukazać kierowniczą rolę Partii. Jednakże „Energia” nie uzyskała takiej popularności jak „Cement”. Krytyka zarzuca „Energii” pewną utorność w stosunku do poprzedniej powieści.

Inne pozycje Gładkowa: „Koł ognisty” (1923), „Krwawy serce” (1928), „Główny człowiek” (1928) i „Pijane słońce” (1927). Jednakże powieści te nie osiągnęły tego znaczenia i poziomu artystycznego w zakresie realizmu, właściwego „Cementowi”.

W okresie Wielkiej Wojny Narodowej Gładkow napisał powieść pt. „Przysięga” (1944), odzwierciedlającą bohaterstwo ludzi radzieckich i moralne zespolenie frontu z zaplecem. Idąc śladami autobiografii Gorkiego Gładkow opublikował w ostatnim czasie dwie powieści „O dzieciństwie” (1949) oraz „Wolność” (1950). W obu sięgając do własnych wspomnień, potężył mistrzowsko ułęk autobiograficzny ze znakomitą epopeją ludu rosyjskiego końca XIX wieku. Gładkow w sposób godny najlepszych klasyków rosyjskich realistów pokazał przedrewolucyjną wieś rosyjską, jej ciemnotę i zafornienie, ale i upartą walkę wolnościową. Krytyka uważa ostatnie powieści Gładkowa za koronę jego twórczości. Obie otrzymały premię stalnowską w uznaniu wsioiskich wartości ideowo-artystycznych.

Grzegorz Timofiejew

* Fragment powieści mającej ukazać się nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry”.

ADAM SAR

ROZMOWY ZE STRÓŻEM SMALERĄ

(Fragment opowiadania przygotowanego dla Lud. Spółdz. Wydaw.)



SIEDZIMY oparci plecami o drucianą siatkę kurzej fermy, pełnej pisku uganających się w wysokiej trawie kurcząt. Widać stąd dobrze całą spółdzielnię. Słońce przesunęło się już dobrze na drugą stronę i cień spółdzielczego kurnika zaczyna przebiegać przez siatkę. Piętro magazynu bliżej oknami ku słońcu, lśnią szyny nowomontowanego dźwigu. Zdejmie on z ludzkich grzbietów ciężar dzwiganych worów. Z lewej strony alei wysadzonej czarnymi bukami czerwienią się mury nowej obory. Z prawej — symetryczna grupa domków podobna do małego osiedla w powiatowym mieście.

W podwórzu cicho. Kobiety przy pieceniu warzyw w ogrodzie; czasem między galeziami błysnie biała chustka. Mężczyźni na ławkach. Kossy. Tylko w drzewach, które ocalały z pańskiego parku, odzywa się niezmordowana kukulka, czasem zagwiżdże wilga, albo zagrucho dziki gołąb.

Smalera ma duże wąsy, czerwoną ogorzałą twarz i spokojne oczy. Co chwila spogląda na krowy, które pasą się na obszernej podwórzu. Pilnuje, bo o szkód nie trudno. Nie przeszkadza mu to jednak rozmawiać.

— Iii, za dziedzica też ludzie żyli. Pracować wszędzie trza.

Zaskoczył mnie tą kwestią odpowiedział. Wszak w Komitecie Powiatowym Partii w Opatowie powiadano mi o Gierczycach.

— Porozmawiajcie, towarzyszu, ze Smalera. On wam najlepiej opowie, jak żyli tam ludzie przed wojną, jak sam żył. Nawet dziedzica się litowała i dawała stare sukienki, żeby dzieci okryć. Spytajcie go, jak żyje teraz...

— A tu masz — „Iii, za dziedzica też ludzie żyli...”

Zajeżdżam więc starego z innej strony. — Byliście na ordynarii?

— Tak, przy koniach.

— Ile otrzymywaliście na rok?

— Czternaście metrów zboża. Żyto, pszenica i jęczmień — odpowiada bez zająknięcia natychmiast, jakby te czternaście worków miał przed oczami. — Dwieście pięćdziesiąt przętów ziemi pod ziemniaki i

pięćdziesiąt pod mieszankę dla krowy. Później, jak dzieci podrosły, bywało i więcej, bo wychodziły na dniówkę.

— Dzieci było dużo?

— Siedmiu.

Siedmiu dzieci i czternaście metrów zboża na rok. Czyli nie starczyło nawet chleba. Porównuję jeszcze to, co mówi Smalera, z opowiadaniem Zmudzińskiego, żony przewodniczącego spółdzielni.

Smalerówna, ta, co przede świętą za Sułkowskiego wyszła, aby zwa węgla wyglądała. Siedemnaście lat dziewczę było, czas już było do ludzi, a tu ubrać nie ma się w co. Sukienki miały jedną. Dzieci nie mieli czym odziać. Bieda była jeszcze i przez to, że starzy nie umieli ani czytać, ani pisać. Kazimierz to się teraz choć podpisał, bo ich nauczyli, ale Smalerowa nawet pięćdziesiąt metrów nie znała, a rachować ani ani i często gesto w sklepie ją oszukali. Oni dopiero teraz, w spółdzielni odzili.

Smalera nie mówi więc prawdy. Ale dlaczego?

Słońce obniża się coraz bardziej. Wydużają się cienie świerków i lip. Znad szlamowanego stawu dobiega coraz głośniejszy rechot żab.

— Dużoście wypracowali? — pytam po długim milczeniu. Wiem, że Smalera był przedwojennym pracownikiem, otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, ale prorokuje. — Wy tu najstarsi, to może za młodymi nastarczyć wam trudno...

— Nie nastarczę? — Osiemnaście metrów samej pszenicy dostaliśmy. Dwanaście metrów żyta. Dziesięć jęczmienia i dziesięć owsa. Ziemniaków kilkadziesiąt metrów. Do tego ze trzy ćwierci cukru i gotówka.

— To pewnie cała rodzina na to pracowała?

— Gdzie tam. Ja sam. Żona i córka dostały swoim porządkom. Teraz robimy tylko we dwoje, bo córka za męża wyszła. Pracuje z chłopem także w spółdzielni.

— W spółdzielni już wydawaliście?

— A jakże.

— Zieć o majątek się nie pytał?

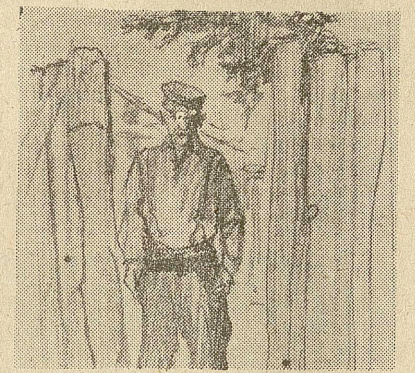
W opatowskim powiecie, gdzie każdy skrawek ziemi ceniony był na wagę złota, ziemia kojarzyła małżeństwa. Morgi były jego fundamentem. Rejent ważniejszy od księdza, a zapis od cnót i urody. Tak było dawniej.

— A po co? Roboty mu brakuje, czy jak? Ziemia jest przecież w spółdzielni. Na zebraniu pytali ich tylko, czy chcą działkę przyzgodową. Zieć mieszka razem z matką, więc powiedział, że działki nie chce.

Wesołe to dla sprawilem na całą okolicę. Ludzie mówili, że lepszego nie sprawiłby gospodź na trzydziestu morgach. Trzydzieści i dwo-

je ludzi było na weselu. Trzydzieści i dwoje...

Smalera z jiki. Zaciągnął się papierosem. Może w tej chwili przypomina sobie i porównuje najokazalsze wesela w okolicy, wesela najbogatszych gospodarzy z Gierczy, Kalisz, Rosochów, Brzezia. Pamięta je na pewno. Kiedyś uroczystości weselne należały do rzędu widowisk. Innych róża jarmarkami i odpustami nie było. Fornał zresztą na jarmarku nie jeździł. Dzisiaj w Gierczycach jest stałe kino wiejskie, w którym filmy wyświetla się dwa, trzy razy w tygodniu. Syn Smalery, Józef, mechanik, który równie dobrze zna się na pomowskiej snopowiazańce jak i na aparacie projekcyjnym jest kinooperatorem. Ot, w przeddzień mojej rozmowy z Kazimierzem, bo tak Smalerę oja nazywają w spółdzielni, wyświetlano naukowy film dla matek, jak ustrzec dzieci przed wypadkami. Z tego nawet powodu kobiety



ty spóźniły się na zebrane sporządzone. Staszewska, jedna z bojących kobiet gierczyckiej spółdzielni, tłumaczyła się, że chciała także ten film zobaczyć, choć ma dzieci do rośnięcia. „Nigdy nic nie wiadomo” — powiedziała chytrze mrugając na nią.

— Jak z tego widać — wracam do początku rozmowy — to jednak w spółdzielni przedzie wam się lepiej, choć przed wojną dzieć nie należało do ostatnich.

— Co tam mówić — odpowiada Smalera i śmieje się cicho, z zadowoleniem, jak ktoś, komu udało się spłacić dobrego figla.

— Po co wam stróż w spółdzielni? Ludzi do roboty macie przecież za mało — zagadnął Smalera na drugi dzień po naszej pierwszej rozmowie.

— Niepotrzebny, mówicie... Pewno, że przydałby się w robotcie. Ludzi w samej rzeczy nie ma za dużo. Trzeba jednak do obory zajrzeć, czy krowa się z łańcucha nie urwała, czy konie się nie popłatały. Ale nie to najważniejsze... Jak się tak patrzy na wieś, to człowiek myśli, że cichutko, spokojnie...

Mimo woli spojrziałem na wieś. Rzeczy stodołę i stodołę widocznych od tej strony. Cicho.

— Dwa lata temu, w pierwszym roku powstania spółdzielni, wybuchł pożar. Zapaliła się sterta wyki nasiennej, choć sterty nigdy nie zapalały się same. Sterta stała niedaleko podwórza, w bliskości pomowskiego magazynu z materiałami pędnymi. Bo POM rozrastał się wówczas tak samo jak gierczycka spółdzielnia i okresowo korzystał z naszej gościnny. Straty mogły być większe i na nie widocznie liczył sprawca, ale wiatr rozmyślił się i zaczął wiać w przeciwną stronę.

Smalera nie uważa więc swojej pracy stróżą za gorszą od zesłorocznej, kiedy to był przy krowach, mimo, że za osiągnięcia w oborze otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. Pierwszy Krzyż w Gierczycach.

— Niby cichutko, niby spokojnie...

— Czy wiecie, jak to było ze Zmudzińską? Kiedy do spółdzielni zdecydował jej mąż, a to nasz przewodniczący, mieli wtedy czworo dzieci, teraz przybyło pięć, zabrała Zmudzińska dwoje i do ojców. Cztery miesiące jej nie było. Chłop zmierzniął, żółkół, ale nie ustąpił. Twardy... Tak ona wróciła. Powiedziała że jej tylko o tamte dzieci chodzi, żeby sobie czego nie myślał. I do roboty powiedziała nie pójdzie. Ale pod jesień nie wytrzymała. A potem została przy świniach i przez ostatnie dwa miesiące w pięćdziesiątym pierwszym roku wyrobiła sto i dwanaście dniówek. A w zeszłym roku została przedwojenną. Krzyż jej w Warszawie dali.

Tak to wyszło. Czuwać trzeba...

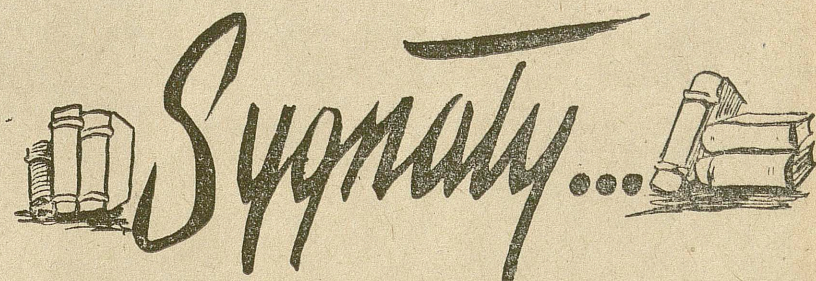
Teraz kilku chłopów z gierczyckiej bledoty było już o krok od spółdzielni. Podania nawet złożyli. Ale książd proboszcz rozdzierzał w tym samym akurat czasie swoją proboszczówkę. Akurat w tym czasie. Ziemia na proboszczówkę dobra, ogórki można na niej siać. Gorzej gospodarzyć, bo parobki woła mimo wszystko, pracę w ostrowieckiej hucie, niż na plebanii. Proboszczówkę więc podzielił na małe kawałki, żeby dla wszystkich starczyło. I uważacie takim trafem dzierżawę otrzymali ci najbliżsi spółdzielni. Myślicie, koniec na tym?

Misjonarzy ścignął. Sześć dni misję odprowadził pod hasłem: „Ratuj duszę swoją”. A przy spowiedzi pytali, czy ze dworu, czy ze wsi? Ze dworu, to znaczy „ze spółdzielni”. Księgowy, Kaspryski, powiedział, że dla pokuty, żeby była różnica w pokucie.

I jakby zamykając rozpoczęła rozmowę wrócił do mojego pytania.

— A wy nie uważacie stróżowania za potrzebne?

Adam Sar



KAZIMIERA ŻUKOWSKA

„NIE JESTEŚMY SAMI”

O powiadaniu pt. „Nie jesteśmy sami” Weroniki Wilbik - Jagustynowej obejmują okres niemal od r. 1934 do chwili obecnej.

Jest to ciekawa próba ukazania sytuacji wsi polskiej za rządów sanacji. W czasie okupacji i w Polsce Ludowej w krótkich, ciekawych i pełnych napięcia opowiadaniach.

Zadanie, jakie postawiła sobie autorka, jest ambitne, zwłaszcza, jeśli zważywszy, że w naszej literaturze wiejskiej nie wiele jest jeszcze książek mówiących o powstaniach chłopskich w sanacyjnej Polsce, o walce wsi z okupantem hitlerowskim, ze sprawą Batalionów Chłopskich i AL są traktowane jak dotąd raczej marginesowo.

Dziś w przededniu dziesięciolecia Polski Ludowej opowiadania ilustrujące ogrom przemian i przeobrażeń naszej wsi budzą szczególne zainteresowanie.

Nie zdajemy sobie często sprawy, jak wiele rewolucyjnych zmian dzieje „stare i nowe” wsi polskiej. Wsi, gdzie w dawnym dworze zakłada się bibliotekę, świetlicę i przedszkola, wsi, która nie tylko ziszcza marzenia poety o książkach pod strzechą, ale i sama wkracza w zakłame wrota literatury dyskutując, radząc i krytykując w spotkaniach z autorami. Gdzie toczy się nieubłagana i nieustająca walka z ciągłe jeszcze podnoszącymi łeb przytykami „starego”, ale z pełną świadomością, że jedną z możliwości jest perspektywa zwycięstwa.

Jakże naturalny wydaje się dziś fakt pełnego uczestnictwa chłopów w życiu gospodarczym, społecznym i politycznym kraju, w którym kilkanaście lat temu „pacyfikowano” całe wieś, za to, że osmieliły się żądać zaspokojenia minimalnych potrzeb życiowych!

Opowiadania „Nie jesteśmy sami”, choć w dużym skrócie, ukazują narastanie świadomości klasowej wśród warstw biedniejszych wsi, kształtowanie się jej w ogniu walki z reżimem sanacyjnym, z faszystowskim okupantem, z kulakami i obszarnikami. Rozwarcie wsi, jej podział klasowy zarysowuje się w książce bardzo wyraźnie, widoczny jest już w pierwszym opowiadaniu, gdzie otumaniony przez pseudoludowe stronicowanie chłop usiłuje śnić dywersję w szeregu zrewolucjonizowanych mas. Był to fakt bardzo znamieny dla polityki

sanacji, która usiłowała w ten sposób rozsadzić od wewnątrz ruch chłopski.

W polityce tej zgodnie współdziałały interesy obszarników i kleru, sprzymierzonej w ciągłej nienawistnej obawie do „widma komunizmu”, które bezskutecznie starał się odstrząść, zwalczając każdy odruch buntu. Rewolucyjni chłopci, których świadomość społeczna i polityczna rozwijała się w walce lat 1934-1937 rozumeli już, że sprzymierzeńcami ich w walce z sanacją będą nie arystokratyczni przywódcy pseudoludowych stronnictw, ale robotnicy, „towaryszysze z miasta”, gdyż tak jak i masy chłopskie mieli oni do stracenia tylko swoją nędzę.

Jedną z najcenniejszych kart książki jest scena w więzieniu, gdzie zbici i zmaltretowani chłopci-powstańcy czytają ulotkę CK KPP z sierpnia 1937 r.

„Walka wsi musi znaleźć jak najpełniejsze poparcie mas... Za pomocą tych strajków robotnicy dosięgają do rozgorzałego już boju o wolność... Za pomocą tych strajków lud przeciwstawi się fał terroru i pacyfikacji...”

Gdy formal doczytał do tych słów, Chmiel nie mógł już wytrzymać. Zerwał się gwałtownie na równe nogi, zapominając o ostrym bólu powyżej krzyża i pokazując chłopom podpis KPP pod odezwą, powtarzał gorączkowo: — Widzicie! Gadalemi! Wari! Nie jesteśmy sami! — a jego twarz promieniała na nowo walek walki, jak w czasie strajku.

Na korytarzu daly się słyszeć ciężkie kroki dozorczy. Bryła, zmrużywszy oczy, składał pospiesznie odezwę chowając ją do cholewy. Chłopi siadali na swych dawnych miejscach. Przez zakratowane okienko dostał się do celi wiatr, zbłąkany promień słońca, który napenił ją jasnością.

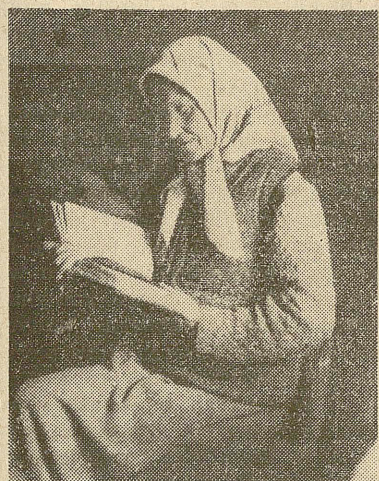
W nieprzerwanej walce o nowe hartując się charakter, kształtuje się świadomość dążeń i celów, powstaje nowy człowiek — chłop radzący swym krajem, chłop, który wie, że jego interesy są także interesami ludowej ojczyzny.

Książka „Nie jesteśmy sami” może w tym wielkim procesie odegrać pożyteczną rolę.

*) Weronika Wilbik-Jagustynowa — Nie jesteśmy sami. Warszawa, 1953 r. Czytelnik, str. 185. Cena zł 6.

KRYSZYNA PALYS

„Elektrostanca” w Serpelicach



Maria Hallińska

WGŁOWACH gospodarzy z Serpelic zrodziła się tej wiosny śmiały pomysł budowy małej elektrowni wodnej na rzeczce, wpadającej do Bugu.

Przedsięwzięcie tego rodzaju nie ma na Lubelszczyźnie precedensu. Toteż wielki zapal gromady mógł się zamienić przy piętrzących się trudnościach w słomiany ogień, a jednak chłopci z Serpelic spłuli wai spietrzący wodę, zabierając się do budowy tamy, zakupili nawet prądnicę i turbinę wodną.

Skąd te pomysły w wiosce oddalonej o dwadzieścia kilka kilometrów od ostatniego w tych stronach stupa z przewodami elektrycznymi? Na jakim gruncie zaczęła kiełkować myśl, wprowadzającą rewolucję w życie wciśnięte pomiędzy płaszczyzny wzgórz i nadbużańskie mokradła? Z czego rodzi się ten upór serpelczan, z jakim starają się zaprzeczyć swoją rzeczność do pracy?

Wyczytałam w sprawozdaniu Gminnej Biblioteki w Konstancynie, że matorolna Maria Hallińska z Wólki Nosowskiej, przeczytała w roku 1952 aż 86 książek. Liczba wyglądała na niewiarygodną — co cztery dni jeden tom przez okrągły rok, a kobieta liczy sobie z górą pięćdziesiątkę. Postanowiłam odwiedzić bibliotekę i czytelniczkę. Nie wiedziałam wówczas, że trafiła tu na ślad wielkiego czynu Serpelic

Konstancynów to osada stara i pozornie nieciekawa. Kilkaset mocno nadwężonych żeber czasu domków, rozchodzących się w cztery strony świata z czworokątnego rynku. Opodal granitowy mur nakoło dawnego gniazda hrabiów Płaterów, sterczy jako historyczny dokument kapitalistycznego podziału ludzkości na uprzywilejowanych nierobów i tych, których jedynym przewilejem była praca. W samym pałacu od kilku lat uczy się młodzież.

Biblioteka mieści się w Młodzieżowym Domu Kultury, naprzeciw świetlicy, przychodzi do niej zima po sto osób dziennie, latem, gdy roboty trzymają ludzi w polu, bywa trochę mniej. Początkowo wypożyczali książki trzy razy w tygodniu, lecz czytelników przybywało i teraz bibliotekarka urządza co dzień, nawet w niedziele, bo w dzień świąteczny ludzie mają najwięcej czasu. Z książką w zanadrze wędrują kilka kilometrów chłopci do biblioteki, bo Waleria Chomiukowa ma po wsiach takich czytelników, którym punkty biblioteczne nie wystarczają, chociaż w gminie jest ich jedenaście.

Ma ona dobrych pomocników w krzewieniu czytelnictwa. Dwudziestoosobowy aktyw czytelniczy — to pomysł nauczycielstwa i panny Ireny, czyli sekretarza prezydium GRN. Podczas tegorocznych Dni Oświaty. Książki i Prasy członkowie aktywnie zwerbowali 76 nowych czytelników.

Trzy karty gęsto zapisane numerami przeczytanych książek z nazwiskiem Maria Hallińska z góry dowiodły, że w sprawozdaniu nie było przesady. Matorolna chłopka z Wólki Nosowskiej, rzekawie przeczytała w ciągu roku kilkadziesiąt książek.

Za sanacją była wyrobnicą, w Polsce Ludowej dostała dwa hektary ziemi z reformy rolnej. Mieszkała w komornym razem z córką i poza Wólkę nie wyszła niosła, ale horyzonty myślowe tej starej i wychudłej od nielekkiego życia kobiety są szerokie, w rozmowie o książkach wypowiada się o tak wielkim ciężarze gatunkowym, że dyskusja z nią nabiera charakteru dysputy. Smalera jest bez wątpienia zjawiskiem nieprzeciętnym, osobowością o umyśle ukształtowanym wybitnie przez książki. Pół

wieku życia i przy tym godna zażdrości bystrzyczka. Świeżość umysłu połączona z trzeźwym sądem — a przecież całe jej wykształcenie skończyło się na nauce czytania i pisania w wiejskiej ochrone. Za carskich jeszcze czasów, kiedy ojciec zanosil ją tam w płachcie na plecach.

Na stole obok kobiałki z jajami leży powieść Vladimira Poznara „Dni kłeski”, na półce Lew Tolstoj. — Gusty ludzkie do książek nie są zawsze jednakowe — zmieniają się — powiada. Za młodości czytałam z upodobaniem Sienkiewicza, nęciły mnie powieści Mostowicza, a Żeromskiego nie tylko że nie rozumiałam, ale mi się nie podobał. Dziś „Ludzi bezdomnych” nie zamieniałabym na wiele innych książek.

Zna Hallińska naszych i radzieckich klasyków, cytuję wjątki z poezji Puszkina, mówi o głębokiej ludzkości utworów autora „Matki” i „Dzieciństwa” — Gorkiego. Ze współczesnych pisarzy radzieckich ceni najwyżej Szolochowa, skarży się, że trudno się doczekać kolejki w bibliotece na „Pamiętkę” Niewinny, bo ją rozrywają w Konstancynie, a na młodych chłopów, że nie chcą wypuścić z rąk „Piątki z ulicy Barskiej”.

Była już na progu, gdy bibliotekarka zapytała ją jeszcze: — A „tamtą” dokończyliście? Hallińska wyciągnęła spod rękawy papierów tom owinieły w gazetę.

— A niech ją... Wszystko mi w

NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI

(Dokończenie ze str. 3)

czenia i indywidualnego, strzeżonego nieraz tajemnicą, osiągnięcia wyników — jest to wyraz ich olbrzymiego postępu i wyraz ich mizurynowskiej postawy. Mieczurynowskiej dlatego, że ich doświadczenia w tym zakresie nie przyoblekają się (jak w doświadczeniach wielu sadowników czy polkary — w marzenia o własnym towarze — jabłku, o własnym towarze — pszenicy, lecz zmierzają do odkrycia praw rządzących rozwojem tych nieznanych u nas roślin, o zmuszenie ich do wyrastania i dojrzewania w naszych warunkach, w naszym środowisku, do zaspokojenia potrzeb surowcowych państwa, a tym samym do zaspokojenia potrzeb całego pracującego społeczeń-

stwa. Sprawa roślin przemysłowych nie jest sprawą prywatną. I dlatego ze sprawą tą związali swój los doświadczeni spóldzielcy i młodzież.

Jak najogólniej ocenił postawę naszych praktyków uczestniczących w pracach kół mizurynowskich? Są to ludzie wyzwalający się z ciemnoty i przesądów, ale ich kroki w marszu do postępu są bardzo nierówne. Jedni bardzo dobrze wyuczili już ytm i zadania naszych czasów, podczas gdy inni nie mają jeszcze sily przeciw własnej powadze, wiażące ich ze starym, z tym, co przynależało z kulturalnym kulturowym.

Krystyna Palys

Dyzma Galaj

STANISŁAW ŚLIWA

OPOWIADANIA ŁUŻYCKIE

Jurij Brézan w tomie opowiadań lużyckich zatytułowanych „Na między rośnię zboże” pokazuje wczoraj, dziś i w perspektywie jutro garstki pionierów słowiańskich zamieszkałych między Spreewaldem a Górą Łużycką. 250 tysięcy Łużyczan zamieszkujących dziś terytorium NRD to resztki gąbnych przetrwałych, germanizowanych i wyłaczanych ludzi, którym odbierało się prawo do narodowego języka, bogatej kultury i obyczajów lużyckich.

W ciekawy sposób ukazał Brézan ten kawał historii w pełnym dynamiki i humoru opowiadaniu pt. „Jak stara Janeczka walczyła z władzą”. Ta ciekawa historia ukazuje w wielkim skrócie dzieje wyrobni wiejskiej prowadzącej w obronie własnego honoru i sprawiedliwości upartą i odważną walkę z junkrami, a potem z faszystami. Historia ta ukazana jest na tle przemian społecznych i ekonomicznych w Niemczech od początku XX wieku, aż do wyzwolenia.

Janeczka wierzyła święcie w sformułowane, które zapamiętała z czasów szkolnych: „Wszystcy podlegamy władzy władza pochodzi od Boga”. Kradzież garstki konieczny wskutek nędzy, ordynarne szczerze Janeczce przez dzierżawcę powoduje bunt starej wyrobni. Wybuch buntu, który dokonał się w oczach formal, przynosi zwycięstwo Janeczce nad dzierżawcą — co ważniejsze — ma olbrzymie oddziaływanie na innych. Walcząca postawa kobiety staje się przykładem rewolucyjności i zachętą do walki dla biedoty. Janeczka w walce dochodzi do samodzielnego wniosku o klasowym charakterze władzy służącej „wyskiwaczom do gniebia biednych. Wtedy to Janeczka osmiela się przedstawić tej władzy, wachmistrzowi policji, Schiller. Scena, w której wykipia ona policjanta, należy do jednej z najciekawszych w książce. Widać już jak wśród chłopów rodzi się solidarność, jak broń Janeczka przed atakami władzy i tym zabezpieczają ją od straszliwej zemsty.

Gdy we wsi ukazał się narodowy socjalista Janeczka wkrótce mogła wynioskować, że są to popleczy junksów i bogaczy. Dlatego zniechęciła ich i demaskowała od początku. Za to zdobyła sobie wielki autorytet i powagę wśród biedoty. Na wojnie Janeczka straciła syna i córkę. W rozmowach z radzieckim żołnierzem, Wanją, który był w niewoli, poznała istotę i cel wojny. Wanja potrafił jej wytłumaczyć, jakie sumy zarabia Krupp na wojnie kosztem krwi milionów ludzi. Wtedy nienawidził do faszystów powód, że Janeczka bez wahania wypędza swoją córkę, która została żoną faszystowskiego oficera.

Kiedy po wyzwoleniu nastąpiła władza

biedoty. Janeczka zaprzyjaźniła się z wachmistrzem ludowej milicji; zobaczyła w gazecie artykuł o sobie i doszła do wniosku, że „władza, to dawnej był tamci, a dziś... dziś, my jesteśmy władzą”.

Postać Janeczki porywa czytelnika siłą charakteru i prostotą, celnością rozumowania i oddziaływania na innych. Opowiadanie mimo to, że traktuje o ciężkich czasach nędzy, zawiera w swej treści wiele elementów ludowego optymizmu, prostoty i humoru.

„Zgubione ciele” i „Kon Fridolin” to opowiadania niemal satyryczne. Ich cecha wspólna jest groteskowość ujęcia postaci i sytuacji oraz wprowadzenie obok bohaterów-ludzi, mniących i odczuwających bohaterów świata zwierzęcego. Autor wprowadzając w taki sposób charakterystyki sytuacji nawiązuje wyraźnie do ludowych gawęd i opowiadań lużyckich.

Ostatnie opowiadanie pokazuje w perspektywie przyszłość wsi lużyckiej. Piotr Biełka to urodzony gospodarz, najlepszy we wsi mistrz urządku. Natomiast jego sąsiad, Gustaw Malnik, interesuje się pracą górnik. Biełka pamiencie boi się kolektywizacji i MAS, który uważa za pierwszy stopień do kolchozów. Długo dyskutuje z sąsiadami, pracuje sam z zaciętością, męcząc siebie i krowy, byle tylko nie dopuścić maszyn na swoje pole. Pole to było przez jego przodków wydarte przyrodzie, z nieużytku doprowadzone do stanu użytkowego. Ślad to szczególnie przywiązanie Biełki do gospodarstwa. Jednak na uroczystościach dożynkowych, kiedy Biełka poznaje chłopaków z MAS, gdy widzi pigmki maszyn i ich użyteczność, postanawia zerwać ze swym uporem i prosić o pomoc. Nazajutrz traktor zaoi i zasiał jego pole razem z polem sąsiada i razem z miedzą za zgodą gospodarza. W ten sposób Biełka przekonał się do uprawy maszynowej i do kolektywnej gospodarki.

Opowiadania lużyckie Jurija Brézana są ciekawym tomikiem na naszych polskich księgarskich. Dają one obraz nowego życia wsi lużyckiej w NRD, mówią o tym, jak rozwija się kultura, obyczaje i język plemion słowiańskich wyzwolonych spod uciśku narodowościowego i społecznego. Dają wiele cennych przykładów toczącej się jeszcze ostrej walki klasowej. Agitatorzy i działacze wyjaśniający problem niemiecki jako centralny dla sprawy pokójki powinni zapoznać się z tą ciekawą książką lużyckiego pisarza.

*) Jurij Brézan — Na między rośnię zboże. Czytelnik 1953 r., str. 222. Tłum. z niem. Zofia Petersowa.

**) Odpowiednik POM na terenie NRD.



PIOTR DONIEC

Wnioski dla aktywu

SŁUSZNE były spostrzeżenia terenowe Bocheńskiego, autora „Zgodnie z prawem”, co do aktywistów gminnych i wojewódzkich. Zauważyłem, że sekretarz KP Wójcik oraz Majewski zapamiętali byli tylko w plan skupu — aby ani na jedną chwilę nie osłabił, natomiast mało troszczyli się o to, jak są do tego nastawieni chłopcy. Mówiłem, że to nie daje wkładu do budowy socjalizmu, jeżeli cała wieś zawiezie zboże nawet zbiorowo z uroczystością, a przyjeżdżając do swych domów, chłopcy źli i zdenerwowani będą mówić: „że odwieźliśmy ten przeklęty kontyngent”. Nie chodzi mi o to, aby plany obowiązkowych dostaw stały, a przeciwnie, aby się powiększały i aby przy takich planach wyrastali jak grzyby po deszczu chłopcy podobni do Franciszka Olejniczaka. Ale jednak tacy chłopcy wyrastali, muszą wiedzieć słuszną linię polityki władzy ludowej. Nie wolno bowiem, aby któremukolwiek rolnikowi działa się krzywda. Nieułaściwa jest taka robota, że chłop zawiózł zboże na źle obliczoną obowiązkową dostawę, a potem na podaniu odnotowano, że jest zwolniony i odstawił ponad plan. Wójcik i Majewski z wyliczeniem Olejniczaka puszczali wodę na młyn kulacki. Mimo popełnionego błędu Bocheński pokazuje jednak, że działacz terenowy powinien być dalekowzroczny, powinien się zastanawiać, dlaczego zboże idzie źle. Są wypadki, że zakłopotany chłop z powodu choroby żony lub dziecka wypożyczył od kulaka zboże albo gotówkę i takową oddaje z lichwiarskim procentem i jest mu bieda. Należy to zobaczyć i użyć tak, jak użono Olejniczakowi z alimentów dla Wojciechowskiej, wówczas aktywu będący w terenie przyciągnie masę chłopów podobnych do Olejniczaka. Jasne jest jak słoneczko, że gdy Olejniczak zobaczył, że aktywu pomógł mu, aby Wojciechowskiej zamiast cłimeńców w zbożu zapłacił gotówką według ceny spółdzielczej, wtedy obudził się jego patriotyzm, wołał o spółdzielnię produkcyjną i ujął w kopcu Pawlika zachowując pszenicę kulaka Wojciechowskiego.

Dwaj towarzysze, tj. Wójcik sekretarz KP i drugi z województwa, tow. Majewski szalenie postępowały, że bali się, aby nie przegiąć, aby nie spowodować Gryficy. Gdy nie badali terenu, ich praca była łatwiejsza i mogli czynić przegięcia, wyrządzając krzywdę temu, co dzisiaj oddał zboże na obowiązkową dostawę, a za tydzień już nie miał co jeść i siad w polu. Najpierw aktywu powinien przeanalizować, kto wchodził w skład trójki w gromadzie, bo ujawniło się, że trójka, do której wszedł Franciszek Olejniczak, nie prowadziła sprawiedliwego rozdziału. Wszedł dwóch ludzi, którzy mieli na celu ochraniać kulaka Wojciechowskiego. Pawlik spekulant, nawet siłą wymusił, aby trójka zgodnie podpisała prośbę kulaka Wojciechowskiego. Chociaż biedny Olejniczak cofał się do tyłu jak rak, większość go przemogła i umówiła w niego, że Wojciechowski już dawno jest rozkulaczony. Ale wszyscy widzieli, że Pawlik przyjął pszenicę kulaka do przechowania, a potem kłamał, że Wojciechowski i ona nie posiada. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie znał sekretu Olejniczaka, pszenica kulaka wymierzona i odsypana z kopca Pawlika popłynęła by strugą do spekulantów. Wskazuję to na konieczność ostrożności. Ale tu jest jeszcze jedna sprawa. Ja sądzę, że Wójcik popełnił wielki błąd: wiedział, że w całej gromadzie jest źle obliczony wymiar zboża po gradobiciu (str. 59), a jednakowoż nie starał się, aby go usprawnić, wszedł w kontakt tylko z Olejniczakiem i tylko jego zbliżył do dzisiejszej rzeczywistości. Chociaż i on został poszkodowany, ale były przecież dziesiątki chłopów podobnych do Olejniczaka i zostali pokrzywdzeni przez gminny biurokracizm, jak wynika z książki, i nikt nie brał ich w obronę. Choć książka o tym nie mówi, chłopom tym na pewno pokazał się obraz niesprawiedliwości, którą spowodowali ludzie gnuśni i niesumieni, chcący tylko wykonać plan. Dwaj aktywiści Wójcik i Majewski bali się, aby nie spowodować błędu Gryficy przy wykonaniu planu obowiązkowych dostaw zboża. Pomimo to ci dwaj wiedzieli, że błądzący u-

parci kulacy, co do których potrzeba wyciągnąć wnioski o słuszne ukaranie, a nawet dokonywać u niektórych omlotów. Trzeba jednak stawiać sprawę: po bolszewicku i sprawiedliwie, bo kulaków należy ograniczać, a nie wolno ich likwidować. Ale aktywu, który idzie na wieś w jakich bądź akcjach, natrafia na wielki opór kulacki. Musi to przezwyciężyć, a nie iść na łatwiznę.

Ja sądzę, że pisarz słusznie ukazuje niebezpieczeństwa jakie mogły wyniknąć z prz. sadnej ostrożności, z leką przed popadnięciem w błąd gryficki. Wójcik i Majewski byli dobrymi aktywistami, tylko byli podziścy bojaźni, aby nie wypaść z linii partii i przez to czynili wielkie błędy. Byli oni wprost wykonawcami planów obowiązkowych dostaw, które to plany źle były zatwierdzone przez minnych lewaków. Tymczasem należało te plany sprawdzić. Wójcik naocześnie przekonuje się, że Olejniczak jest pokrzywdzony w wymiarze zboża z powodu gradobicia, jednakowoż nie nie uczynił, aby ten błąd poprawić, a przeciwnie takich podobnych Olejniczaków było wielu. Wielu z nich oderwało się od dzisiejszej wsi. Aktywu, do jakiego należał Wójcik i Majewski, powinien wiedzieć, jak pracują placówki w terenie, czy takowe nie krzywdzą chłopów. Każdy z nas wie, że chłop szukał ziemi po Argentynie, Brazylii i jeszcze po innych krajach, a dzisiaj ma swoją i boi się jej pozbyć, np. gdy chłop zobaczy, że gospodarowana w GS-ach placówka prowadzi się dobrze, wówczas nabiera chęci, aby włączyć swoje rozdrobnione gospodarstwo do kolektywnej uprawy. Na moim terenie jest pewna placówka GS i chłopcy usłyszeli sprawozdanie, z którego wynikało, że posiad. ona duże straty. Odstrążyło to wielu chłopów od ustąpienia do spółdzielni. Dlaczego tak się stało? Można bez trudności odgadnąć. Odpowiedź jest po prostu ujęta z ust Franciszka Olejniczaka: pskudztwo włożyło i podziścyło się pod płaszczyk partii, aby uzyskać prezysury i dobre obłowić się tanim koszem na niwie społecznej. Tak, że w końcu jeden z członków tego zarządu dostał się do więzienia. Do takich należał zarząd GS.

Dużo większą winę ponoszą władze powiatowe, a nawet wojewódzkie, bowiem nad zarządem GS brak kontroli od samego początku jego istnienia. Jest to tylko jeden drobny przykład, pokazuje jednak, że rację miał autor „Zgodnie z prawem” wskazując czujność i kontrolę pracy społecznych placówek na wsi. Jak widać, książka ta niejednego może nauczyć.

wieś Dosłone, gm. Racławice

KAZIMIERZ JERZY ZALEYSKI

JAK KOŃ SOŃTY ŚWIETLICĘ FUNDOWAŁ

MIGOŃ jechał spółdzielczymi koniami po powroty do snopowizakki, przysiadłem się na wóz z tym większą ochotą, że Migoń to gadatliwy znany w całej gminie. Powiadają, że kot musi być łowny, a chłop mowny, Migoń zaś nie tylko gadkę umie ułożyć, ale i zagra na harmonii nie do bardzo fałszując. Z tego więc tytułu zapraszali go ludziska na huczniejsze wesela i chrzciny, co mu trochę pomagało dawniej wiązać koniec z końcem na jego 3-morgowej ojcowiznie. Dziś Migoń-spółdzienka gra czasem na zabawach do tańca, ale na piątą wieś za weselskimi nie lata. Znają gości jednak z tamtych czasów zostali, więc gdy przejeżdżaliśmy przez sporą wieś Dudy uciął zaraz gawędę o mieszkancach tej wsi znanych ze skąpstwa.

— W Dudach — zaczął Migoń — mieszkają bardzo skąpe ludzie. Nie powiem, że źli, ale bardzo nie lubią grosza wydawać. Nazywają ich diawidukami i powiadają, że ławiej pięciu „som” jedną kość zabrać niż od jednego diawiduka pięć groszy wyprosić. Ludzie poczciwie, jak rzekłem, ale gdyby mogli, to by spod siebie jedli, takie oszczędne. Jeden taki diawiduk syna wystął na

HELENA ZAWORSKA

„WSRÓBOWAĆ CZYTELNIKA W GĄSZCZ WALKI KLASOWEJ“

DO najlepszych wypowiedzi terenowych o książkach współczesnych pisarzy należą nie te, które mówią tylko o książce i tylko o jej bohaterach. To krytycy zawodowi znają się doskonale na sposobach konfrontowania jednego materiału literackiego z innym materiałem literackim lub ze szpaltami odnośnych artykułów. Konfrontacja czytelnika jest często ostrzejsza — opiera się nie na ogólnej wiedzy o problemie, lecz na żywym, bogatym materiale własnych codziennych doświadczeń. W takich wypowiedziach brak gotowych uogólnień, ale brak również — ogólników. Za formułowanymi sądami stoją często działa wielkiego kalibru: wieloletnie doświadczenie, mądrość długo przygotowywanych zwycięstw, gorzkie nauki popełnianych błędów. Dla działacza — aktywisty terenowego miarą wartości książki jest nie tylko jej dokumentalność zawarta w stwierdzeniach: pisarz napisał prawdę, tak było. Miarą pełniejszą, miarą najwyższą chwytną, jest najwyższa miara realizmu: ukazywanie nowych form rozwoju, wskazanie nowych dróg dla przezwyciężenia starego, odnalezienie rozwiązań dla spraw, których pozorna przyp. dokończeni i wyjątkowość kryje za sobą typowość ogólnych procesów.

Pisarz, który „pisze prawdę”, to dużo, ale to jeszcze nie autorytet. Autorytet, to ten, który „wie więcej”, który lepiej patrzy, i który umie nauczyć tej ostrości widzenia. Wtedy w wypowiedziach o książce posypią się przykłady z własnych doświadczeń, wtedy padnie najwyższa dla pisarza ocena: „Ta książka dobrze uczy praw walki klasowej”.

Taką książką jest niewątpliwie zbiór opowiadań Jacka Bocheńskiego „Zgodnie z prawem”. Wiele już o niej pisano. Poruszyła ona krytyków literackich, ale co najważniejsze — poruszyła szeroki krąg czytelników. Z listów, traktujących o współczesnych książkach, największą wypowiedź przyszło o tomie Bocheńskiego. Ale nawet nie tyle sam fakt nadesłania wypowiedzi, ile ich treść stanowi wymowne świadectwo wartości książki Bocheńskiego. Przypatrzmy się tym wypowiedziom bliżej.

„Z podziwem ogładam pisarski wysiłek Bocheńskiego, aby się wsrubować w popłatany gąszcz walki klasowej na wsi, gdzie ludzie ścierają się imiennie jako sąsiedzi i znajomkowie. I dlatego w takich warunkach walka klasowa bardzo się utrudnia i mimo trafnych ciosów często i długo nieskuteczna... Bocheński dotarł wreszcie do tego, czym my żyjemy na co dzień, w czym się często topimy i gubimy, bo tu trudne rozeznanie i wzorów na odwołanie każdego elementu brak. A tak by się chciało, żeby te sprawy lokcia przy lochu jak najczęściej pisarz wyświełali i na widok wystawiali — pisze jeden z działaczy wiejskich, Wacław Kosobucki (Wiesł. 22 br.).

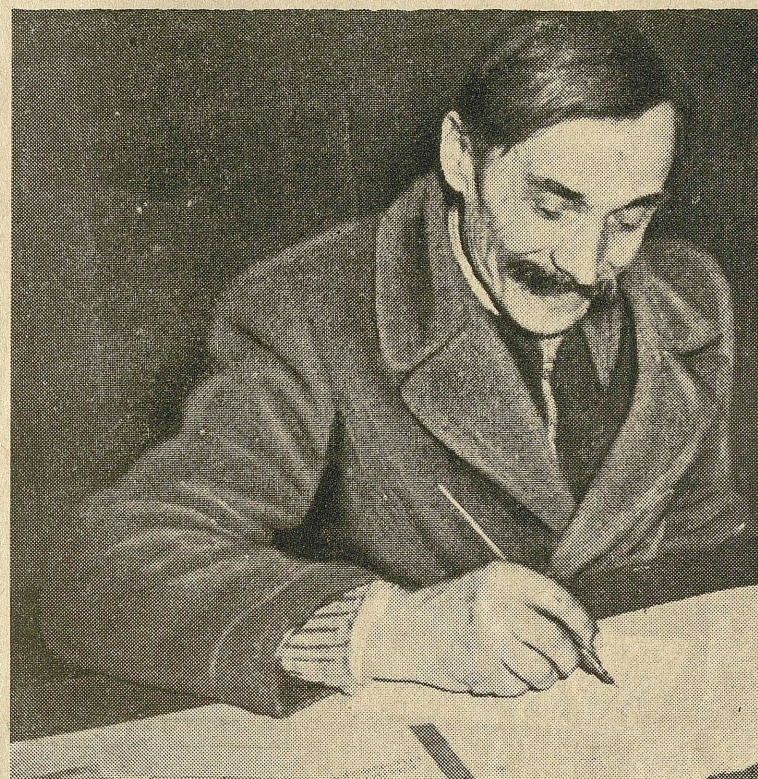
Zacytowana uwaga Kosobuckiego jest charakterystyczna i dla innych wypowiedzi o „Zgodnie z prawem”, a przede wszystkim ujmuje z miejsca centralne zagadnienia książki Bocheńskiego: odkrywanie praw walki klasowej, praw rozwoju w skomplikowanych i trudnych do rozszyfrowania sytuacjach, odsłanianie ukrytych sprężyn wypadków, dochodzenie pisarza do trudnych uchwytów, zakospirowanych prawd o specyfice walki na poszczególnych odcinkach. Czytelnik wychwycił konkretną sytuację: sprawę Olejniczaka. Olejniczak demaskuje na zebraniu kulaka Wojciechowskiego, a ten „usadza” go, ośmieszając jednym wstydlwym według opinii gromadziej przypominaniem, w jaki to przypadkowy sposób dorobił się Olejniczak swych kłopotów. Oto jedno krótkie spleć, jeden moment, w którym sprawa walki klasowej spłata się najciszej z zadawnionymi zdawałoby się sprawami, z utartymi sądami, z właściwym, czy niewłaści-

wym pocuciem śmieszności utrwalonym miarą wiekoletnich sąsiedzich obyczajów. Drobnostka? Nie, rzeczwiśta kłoda pod nogi Olejniczaka, chytne wykorzystanie przez kulaka broni zabójczej wśród znajomków — śmieszności. Nie doceniali takich rodzajów broni nasi pisarze, u których walka klasowa odbywała się w sposób wprawdzie bardzo bojowy, ale — bardzo nieskomplikowany i była nastawiona na najwyższy, patetyczny ton. U Bocheńskiego walka klasowa, to nie „bicie w werble na peryeriach utworu” — to zacięta, przejawiająca się w różnych formach, obecna na każdej stronie dynamika rozwoju rzeczywistości, prawo określające postawę ludzi i ich działanie, ich etykę. Bocheński rzeczywiście dotarł wreszcie do spraw, w których rozeznanie się jest trudne i dla pisarza, i dla działacza wiejskiego, do spraw codziennych, do ukrytych manewrów zrozumiałych dopiero po wnikliwym wdarciu się w skomplikowany gąszcz ludzkich spraw. I to właśnie podkreślili od razu czytelnicy jego książki. Tę pasję odkrywczą, tę umiejętność dotarcia do samego sedna, to nieoprzestawianie na najbardziej oślepionych i znanych konfliktach ocenili najwyżej. Książka Bocheńskiego uczy również większej czujności, pokazuje drogi, po których jak po nitce do kłębka dojść można do wykrycia metod wroga

nicznym”. Oto w jaki konkretny sposób opowiadanie pogłębiło doświadczenie aktywisty, wskazało mu jeszcze jedno źródło pomocy w walce, przypominało o możliwościach znalezienia sąsiadka w brygadzie traktorzystów.

Bilans „autor — czytelnicy” nie zamyka się oczywiście jednostronną korzyścią czytelnika. Wypowiedzi o „Zgodnie z prawem” zawierają również część krytyczną, część postuluującą. Z sur. wch, nie popartych żadnymi uogólnieniami stwierdzeń można wysnuć wnioski dotyczące nie tylko sprawy słusznego lub niesłusznego potraktowania problemu, ale i sugerujące pewne rozwiązania artystyczne.

Wyda mi się, że dla autora opowiadań o wsi współczesnej z wypowiedzi czytelników narzuca się jako postulatowy — następujący wniosek: pogłębić, zbadać jeszcze dokładniej sprawę działalności i postawy klasowej ludzi reprezentujących na wielu odcinkach władzę ludową. Właśnie sprawa kadr, właśnie sprawa właściwej linii działania władzy ludowej w terenie, sprawa kontroli ścisłej, czujnej, bezustannej — wysunęła się na czoło zagadnień poruszanych przez czytelników. Oczywiście, asumptu tego dają same opowiadania — w tę problematykę słabo poruszana, a jakże ważna, bije Bocheński. Ale



Wypowiedzi o „Zgodnie z prawem” nie zawierają młdych ocen w rodzaju „książka bardzo mi się podobała”. Czytelnicy wychwyliły problemy, które są dla nich oczywiste, jak na dioni — mogą się z nimi zgadzać lub nie, potrafią jednak bez trudu dostrzec je, zaktualizować, przenieść na grunt własnych doświadczeń, poprzeć znajomymi sobie faktami. Czyż trzeba lepsze dowodu na to, że książka Bocheńskiego stawia ostro problematykę, operuje bogactwem konkretnego materiału, uderza wyrazistością krótkich spleć, w jakich przejawia się ukazane konflikty? To nie przypadek, że czytelnicy tak łatwo znajdują powiązania własnych doświadczeń z doświadczeniami bohaterów książki, że tak łatwo znaleźć im w własnej pracy w terenie argumenty za i przeciw. Pod nazwiskami Wójcickiego, Karolaka, Węgrzyckiego podstawią nazwiska znanych sobie ludzi. A przecież chodzi tu nie tylko o podobieństwo, o typowość problematyki — chodzi przede wszystkim o konkretną pomoc w walce klasowej, o wyjaśnienie nie zawsze dobrze widocznych problemów, o to, że na przykład Kosobucki z opowiadania „Wiosna” wyciągnął praktyczny dla swojej pracy wniosek: „U nas powstała spółdzielnia produkcyjna i okazuje się, że POM będzie dla nas nowym sojusznikiem, nie tylko tech-

nie jest przypadkiem, że znalazła ona tak silny oddźwięk u czytelników. Nie jest również przypadkiem, iż czytelnicy idą dalej od autora: domagają się jeszcze większej odpowiedzialności u Wójcickiego i Majewskiego, poddają w wątpliwość decyzję Wójcika w sprawie Olejniczaka, któremu nie zwrócono ponadplanowego zboża, krytykują „jak najsurowiej” zapatrzenie się w plan skupu bez zwrócenia należytej uwagi na sytuację w terenie, bez zmożliwienia wysiłku nie w celu formalnego wypełnienia dostaw, lecz w celu politycznego, klasowego uświadomienia ważności wypełnionej akcji. Od problemu trojek gromadziej kontrolujących skup zboża, aż po sprawę przewodniczącego i kierownictwa spółdzielni — przewija się najbardziej jętrzący problem poruszany w wypowiedziach, argumentowany przykładami z terenu, problem, na którego tak żywa reakcja musi być sygnałem dla pisarzy.

Wiele pisanie o opowiadaniu zatytułowanym „Rzbiutek”. Poddawano w wątpliwość motywację wahań Węgrzyckiego, a właściwie mówiono o braku tej motywacji. Nowela o obrażonym biedniaku” nazwał to opowiadanie recenzent w „Przeglądzie Kulturalnym” dopatrując się w tym nieco antyschematycznej manieri. Na inny grunt przeniósł to zagadnienie czytelnik. Zauważył

brak motywacji w postępowaniu Węgrzyckiego, ale usiłował domyślić się innych przyczyn. Węgrzycki jest obrażony na przewodniczącego spółdzielni, nie ma zaufania do spółdzielców. Czy tylko dlatego, że inspirowa go kulak? A co wiemy o Kubali, o stosunku spółdzielców do pozostających poza spółdzielnią? — pyta Kosobucki. Węgrzycki jest obrażony, ale dlaczego? Czy druga strona jest tu na pewno bez winy?

Oto charakterystyczne sugestie czytelnika, sugestie tym wymowniejsze, że nie tylko w jego wypowiedzi poparte przykładami z terenu, które w sposób ostry stawiają sprawę niewłaściwej polityki spółdzielców w stosunku do niezrzeszonych, sprawę demobilizującą całe gromady funkcji niewłaściwego obadania kadr kierowniczych. Można dyskutować oczywiście, czy takie według intencji autora mogły być m. in. powody wahań Węgrzyckiego. Nie można jednak nie zauważyć, iż w tym podsunięciu przez czytelnika właśnie takiego rozwiązania kryje się problem, który jest wart głębokiego zastanowienia i zbadania. Jeśli nawet nie o tak podstawowy problem chodziło autorowi w tym jednym opowiadaniu — czyż nie powinno chodzić o niego jak najbardziej w dziełach innych opowiadaniach „do napisania”?

Szukając walorów, dla których opowiadania Bocheńskiego tak łatwo „biorą” czytelnika, wysuwa się wiele cech tej dobrej prozy młodego pisarza: od odwagi i umiejętności chwytności konfliktów w momentach krótkich spleć po uwagi na temat dobrze konstruowanego dialogu, żywego, nasyconego ludową mądrością języka, celowego komentarza odautorskiego. Czytelnik nie nazwie oczywiście po imieniu tych wszystkich subtelności. Ale o artystycznym również oddziaływaniu opowiadań Bocheńskiego mówi żywa reakcja czytelników na tę właśnie książkę, zainteresowanie dla jej bohaterów, rozstrzyganie ich spraw na platformie dyskusji z autorem. Nie darowano Bocheńskiemu momentów, w których autor zagubił pełną motywację postępowania bohatera (sprawa Węgrzyckiego), zwrócono uwagę na szkieletowość i fragmentaryczność postaci Jasionowskiego, który mógł stanowić klucz do lepszego zrozumienia sytuacji w spółdzielni, do głębszego wytłumaczenia powodów, dla których trzeba było dopiero brygady FOM, by rozwiązać kilkuletni bałagan w spółdzielni.

Pisząc o zainteresowaniu czytelników książką Bocheńskiego warto podkreślić, że książka ta to jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy tom opowiadań o wsi współczesnej, który zdobył sobie wiejskiego czytelnika. Mało się o nas pisze i mówi o formie opowiadania, o jego funkcji mobilizującej, o wyrazistości jego obrazu w ogóle, o doniosłości tej małej formy prozatorskiej posiadającej bardzo dużą siłę oddziaływania, a tak trudnej w ideowo — artystycznym wykonaniu. W literaturze rosyjskiej i radzieckiej mamy przebogate tradycje tej właśnie formy. U nas — wiele z najcenniejszych pozycji o tematyce wiejskiej stanowi jednocześnie szczyt nowelistyki polskiej. Na materiale współczesnej prozy o wsi trudno byłoby mówić o kontynuowaniu tych pięknych tradycji. Książka Bocheńskiego jest pierwszą godną zanotowania próbą. Warto, by przy okazji tej książki nasza krytyka poruszyła sprawę opowiadania w literaturze współczesnej. Odbiór książki Bocheńskiego w terenie świadczy, iż opowiadanie zdobywa sobie popularność wśród czytelników. Trzeba by je popularyzować również wśród — autorów.

Helena Zaworska

i skoczyło bez dyle imo furklo. Pokos okropnie starabanio, tak latato po łące. Pewnie jakie źle, albo co. Ale Deputle nie wierzyli, bo to pijawka okrutna i na pewno dał se wieczorem w szyję, bo od łak wilgoć ciągnie i go w kościach tupie, więc jak mówi, musi pić jakieś ziółka na spirytusie. Przewodniczący Olearczyk domyślił się, że to koń Sońty był w inspekcji na spółdzielczy łące. A że przewodniczący też durowiał, to go serce okropnie rzuło, że konisko za darmo spółdzielczym sianem się posiliło. Zebrał więc co młodszych członków, wzięli powrozy i zaczęli się na łące. Jednej nocy nie, drugiej też nie przylazł, ale trzeciej patrz — idzie. Ostrożnie przebiegał kopytami, by hataś nie zrobić, strzygł uszami, uścisk myś przez dyle, którymi łącka była ołoczona. Spółdzienicy otoczyli go powrozami i z wielkim trudem zapędzili do spółdzielczego stajni. Rano wstają po Sońte. Przychodzi, a Olearczyk powiada: „Zapłacicie teraz 500 złotych na budowę świetlicy gromadziej za te wszystkie szkody, co wasz koń całej gromadzie narobił”. A Sońta powiada: „To nie mój koń, tyle że podobny”. Poszedł stary do domu i czeka, aż Karoszek ucieknie ze spółdzielczego stajni, ale go tam dobrze pilnowali. Minął dzień jeden, drugi. Wreszcie Sońta przyszedł pod spółdzielnię. Niby nie ma żad-

nego interesu, tylko tak popatrzeć. Powiadają mu: „Sońta, bądźcie cłowiekiem i zapłać, bo jak nie, to ci konia w twoje żyto upuścimy, a on taki bestia futrowy, to cie zeżre z butami.”

Spluwa Sońta ży jak diabeł, ale wreszcie targ w targ i zapłacił 400 zł i wozu materiał na remont świetlicy. A jak wiozł te cegły, to było czego posłuchać, tak przemawiał do konia jak pleban do huncwotów — parafian. „Ty złodzieju, rób tera za darmo, jakies chciał za darmo sie żywić. Ty gadzie bezmyślny, cierp tera, jakies łazł w spółdzielce”. A Karoszek tytał ślepiami i ciągnął cegły na gromadzką świetlicę. Od tego czasu Sońta coś się zmienił. Uwidzieli mu się, że spółdzielnia to jest jednak siła. Cała wieś nie mogła poradzić Karoszkowi, a spółdzienicy zmogli gadać. I wiecie, Sońta w krótkim czasie w gromadzką świetlicę, do której budowy on z koniem najwięcej z całej gromady się przyłożył, oświadczył: „Przymijcie mnie do spółdzielni”. Dziś Karoszek nie futruje po sąsiadach, a pasie się ze wszystkimi spółdzielczymi koniom — zakończył swoje opowiadanie Migoń, gdy miłeśmy ostatnie pole spółdzielni produkcyjnej w Dudach.

Jerzy Kazimierz Zaleyski

TOMASZ ATKINS

ZA KULISAMI PROWOKACJI

WIOSNA nadziei" nazwał tegoroczną wiosnę Ila Erenburg. Głoszona przez Związek Radziecki zasada, że wszystkie sporne problemy między narodowe mogą i powinny być rozwiązane drogą pokojowych rokowań, zyskała poparcie większości ludzi na świecie. Wielka pokojowa akcja narodów zaczęła ostatnio wydawać owoce. W Korei osiągnięto porozumienie w sprawie rozejmu. W Niemczech uchwały Socjalistycznej Partii Jedności i rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej z dnia 9 czerwca ułatwiły osiągnięcie porozumienia w sprawie pokojowego zjednoczenia kraju. W Anglii i Francji dały się zauważyć oznaki ożywienia wymiany handlowej ze Związkiem Radzieckim i Chinami. Ludowymi. Nadzieje rosną w sercach uczciwych ludzi pragnących pokoju dla siebie i dla swoich dzieci.

I wówczas, jednocześnie w Berlinie i na Korei padł rozkaz: rozpocząć prowokację, przeszkodzić odprężeniu międzynarodowemu, zniszczyć dzieło wysiłku narodów.

Szykowane na taką właśnie chwilę bandy najmitów z zachodniego Berlina, instruowane przez hitlerowskich i amerykańskich speców dywersji, wtargnęły do demokratycznej części miasta, judząc i podburzając ludność do wystąpienia antyrządowych. Plany były dalekosiężne: chciano obalić władzę demokratyczną, przenieść płomień wojny z Korei do Europy. Niezaprzeczalne fakty dowodzą, że ta nikczemna prowokacja ukartowana była od dawna. Jeszcze przed rokiem reakcyjny tygodnik zachodniemiecki „Der Spiegel” pisał: „Generalny plan zagańnięcia władzy administracyjnej jest już prawie gotów. Po podpisaniu układu o ogólnym przez kanclerza federalnego, Adenauera, brak jedynie okazji, by plan wcielić w życie”. A więc chodziło tylko o sygnał.

W Korei, wbrew osiągniętemu przez dowództwo ONZ porozumieniu kilka lisyennanowska uprowadziła 28 tysięcy jeńców północnokoreańskich i pewną liczbę jeńców chińskich, którzy mieli być przekazani neutralnej komisji rozejmowej. I tu plany były dalekosiężne: stopniowoć zawieszenie broni, rozpalić gasnący płomień wojny w pozycji, która objęłaby całą Azję. I tu niebicie fakty dowodzą, że prowokacja była ułożona od dawna. Burzująca gazeta angielska „Manchester Guardian” pisała np., że „do wodzów amerykańskich znano plan uprowadzenia jeńców przez Li Syn-Mana od pierwszej chwili rozmów w sprawie rozejmu”. A więc i tu chodziło tylko o sygnał.

Na czyj sygnał czekano? Z cyniczną otwartością odpowiedziała na to amerykańska agencja prasowa „Associated Press”, której korespondent znalazł się „przypadkowo” w centrum zgiełku w Berlinie, a drugi — również „przypadkowo” — zjawił się w pobliżu obozu w Pusan, w chwili gdy uprowadzono stamtąd jeńców. W depeszy z 18 czerwca agencja ta w swoim komentarzu pisała dosłownie, że w wypadkach obu prowokacji Ameryka „miała na celu zadać cios radzieckiej ofensywie pokojowej w decydującym momencie”.

ALBERT ROLLAND

FABRYKI I UNIwersytety W DŻUNGLECH VIETNAMU

Od blisko 8 lat toczy się bohaterska walka narodu wietnamskiego przeciwko kolonializmowi francuskiemu, popartym przez imperializm amerykański. A przez ten cały okres, podczas gdy na frontach trwały zawzięte boje, w oswobodzonych okęgach kraju odbywa się pokojowe budownictwo nowego życia.

*

Naród wietnamski uzyskał niepodległość we wrześniu 1945 r. Ale młoda republika ludowa zaledwie przez jeden rok korzystając z pokojowego życia, Francuskie wojska kolonialne, które przez wiele lat przed II wojną światową okupowały ten kraj, wróciły w końcu 1946 r., by zacząć swą „brudną wojnę” przeciwko pokojowej ludności Vietnamu.

Spodziewając się przybycia imperialistów wietnamskie władze ludowe zaważszy ewakuowały najważniejsze zakłady pracy z miast nadmorskich do dżungli w głębi kraju.

W sercu dżungli znajduje się obecnie wiele fabryk, z których niektóre zatrudniają po parę tysięcy ludzi. Przemysł ten stale się rozwija. W gestych lasach pracują na całą parę fabryki kwasu siarkowego, przemysłu farmaceutycznego oraz zakłady hutnicze i przemysł maszynowy. Rozwija się też wydobywanie rudy żelaznej, węgla i metali kolorowych, których bogate złoża zostały odkryte w ostatnich latach. Wydobywanie węgla zyskało się tu kilkanaście razy w porównaniu z 1945 r., a wydobywanie fosforu kilkadziesiąt razy. Przemysł włókienniczy i papirniczy całkowicie zaspokaja rosnące potrzeby ludności. Poziom ży-

Wypowiedź ta aż nadto wyraźnie wskazuje, że prowokacja berlińska i koreańska spowodowane były s t r a c h e m w obozie imperialistów przed skutkami wielkiej pokojowej akcji narodów. Patrząc na rosnące i krzepnące siły pokoju podlegające wojenni czują się jak osaczeni drapieżcy, miotają się w wściekłości i na oślep rzucają się w beznadziejne awantury. Beznadziejne, bo wobec czujnej i zdecydowanej postawy narodów każda prowokacja wojenna — jak dowodzi tego wydarzenia berlińskie — musi zakończyć się fiaskiem.

Prosi ludzie na całym świecie rozumieją głęboki sens ostatnich wydarzeń w Berlinie. We wszystkich krajach wzrasta oburzenie przeciwko inspiratorom i organizatorom tej wojennej dywersji. A szczególnie wymowa mają ostatnie wydarzenia dla narodu polskiego. „Wypadki berlińskie to sprawa dotycząca nie tylko samych Niemców. Ten zamach na pokój gości i w naszą ojczyznę” — mówi na zebraniu elektrycznym warszawskiej slusarz Robert Uwin. Ci sami zbrodniarze, którzy usiłowali podpalić stołowi robotnicze w Berlinie — podpalił kiedyś miasta i wsie polskie. Ci sami oprawcy, którzy jak Erna Dorn, komendantka obozu w Ravensbrück, znęcali się nad więźniami polskimi w obozach koncentracyjnych, nawoływali teraz do zamordowania

po tereny polskie, zarówno po nasze ziemie zachodnie jak i po Stalipogród, Łódź, Poznań i Kraków. Kaiser, tak jak Allen Dulles, chciał by Polskę wykreślić z mapy Europy.

Trzeci z organizatorów prowokacji — przywódca prawicy socjaldemokratycznej, Ollenhauer — to najkrzykliwszy ordęownik wskrzeszenia Wehrmachtu hitlerowskiego, wzywający do „prowadzenia wojny nad Wisłą”.

I wreszcie Konrad Adenauer, kanclerz Bonn, europejskie wydanie krwawego Li Syn Mana.

„To, co robimy w Niemczech, nie różni się od tego, co robimy w Korei” — wyznał kiedyś w przystępie szczerości były wysoki komisarz USA w Bonn, generał i bankier nowojorski Mac Cloy. Adenauer w Niemczech zachodnich hodowany jest przez wojskowo - gieldziarską rządzącą klikę amerykańską w tym samym celu, co Li Syn Man w Korei — aby przeszkodzić jednoci kraju i wykorzystując fakt jego rozbięcia prowokować awanturę wojenną. Berlińska prowokacja była kłody rzuconą pod nogi rządu NRD, który właśnie w ostatnim czasie podjął szereg uchwał, zmierzających do ułatwienia porozumienia w sprawie pokojowego zjednoczenia Nie-



działaczy Socjalistycznej Partii Jedności, dlatego m. in., że głoszą oni przyjaźń i braterstwo z narodem polskim.

Powszechnie wiadomo, że sojusz amerykańskich i bońskich imperialistów w celu przygotowania nowej awantury wojennej ostrzem godzi bezpośrednio w Polskę Ludową. Mówią o tym zresztą sami organizatorzy prowokacji berlińskiej:

Oto pierwszy z nich: Allan Dulles, szef wydziału operacyjnego amerykańskiego wywiadu, który nie przypadkowo przybył do Berlina na cztery dni przed wybuchem zgiełku. Jest to ten sam Dulles, który w swojej książce „Niemieckie Podziemie” przyznaje, że na początku ostatniej wojny światowej prowadząc tajne rokowania pokojowe z Niemcami hitlerowskimi ofiarował im „wolną rękę w zaprowadzeniu porządku na Wschodzie i stworzeniu Wielkich Niemiec”.

Oto drugi z nich: chadecki minister rządu bońskiego, Jakub Kaiser, oficjalnie szef wszelkich dywersji przeciw NRD. Nie ma prawie dnia, w którym Kaiser nie podjąłby do nowej wojny, nie sięgał w swych wrzaskach propagandowych

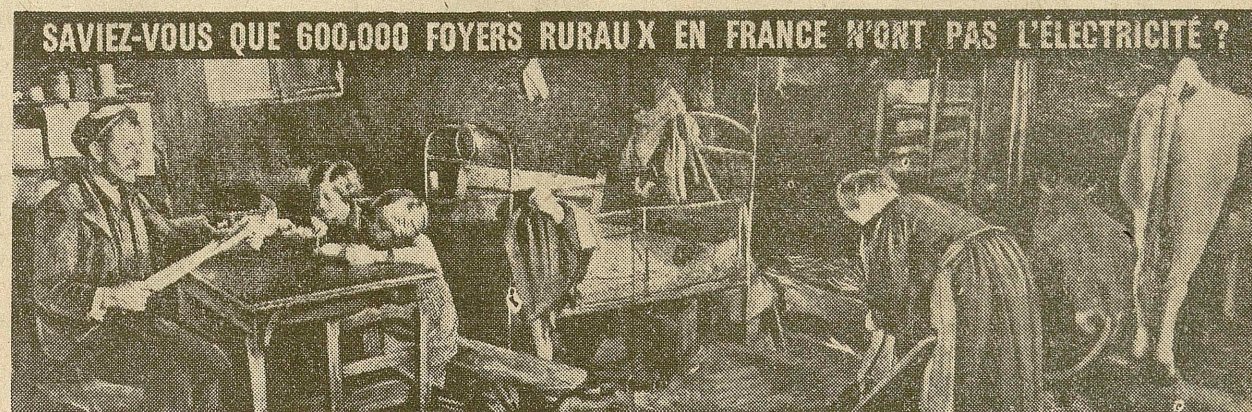
mię na podstawach demokratycznych. Ta kłoda została usunięta, ale jak pokazały wydarzenia w Berlinie, podlegające wojenni nie śpią i aby usunąć groźbę nowych podobnych prowokacji, narody muszą wzmoć walkę o pokojowe zjednoczenie Niemiec.

Rozbite Niemcy, to żer dla wszelkiego rodzaju szowinistycznych i imperialistycznych awanturników, którzy pod pozorem „zjednoczenia kraju” szykują wojnę odwetową do napadci, na ZSRR, Polskę i inne kraje demokracji ludowej.

Okupowane Niemcy zachodnie — to podstawa agresywnych planów imperializmu amerykańskiego. One to mają dostarczyć żołnierza dla armii napastniczej, one mają z kuzni wojennej Zagłębia Ruhry dostarczyć oręża dla tej armii. One wreszcie mają stać się amerykańskim żandarmem Europy.

I dlatego walka o utwrczenie zjednoczonych, demokratycznych i pokój miłujących Niemiec jest walką o utrzymanie pokoju w Europie.

Tomasz Atkins



ANDRZEJ SZARSKI

STARA I NOWA BASTYLIA

14 lipca minę 164 lata od tego historycznego dnia, kiedy lud francuski w potężnym zrywzie nienawiści i bohaterstwa zburzył Bastyllę, kładąc tym kres panowaniu we Francji ciemnych sił średniowiecza.

„Cały XIX wiek, ten wiek, który dał cywilizację i kulturę całej ludzkości — pisał Lenin — przeszedł pod znakiem rewolucji francuskiej”.

Dla wielu pokoleń zburzenie Bastylli, hasła „wolności, równości i braterstwa” oraz Marsylianka stanowiły symbol najszlachetniejszych dążeń ludzkich do lepszego jutra, w którym nie będzie wyzysku, oszustwa i nędzy.

Upadek Bastylli nie przyniósł jednak prawdziwej swobody ludowi francuskiemu. Dzieło, zapoczątkowane przez naród francuski w roku 1789, w Rosji doprowadziło do końca Rewolucja Październikowa, która dała ludowi władzę i umożliwiła mu zbudowanie ustroju sprawiedliwości społecznej.

Historia Francji w ostatnich latach, to wyprzedzanie kraju monopolistom zła oceanu i stałe pogarszanie warunków życia ludu pracującego.

W 1947 r. Francja przyjęła plan Marshalla i zasnala „dobrodrojeństw” tak zwanej pomocy amerykańskiej. Jakież następstwa wywołała owa pomoc w gospodarce narodowej Francji? Importowane towary amerykańskie zalewając rynek francuski wypychają zeń wyroby rodzimego przemysłu. Liczba bezrobotnych

wzrosła od 1947 r. siedmiokrotnie i przekracza dziś 3 milionów ludzi. Jednocześnie rosną ceny i podatki. Na wsi francuskiej, która zawsze odczuwała brak rąk roboczych, jest teraz milion ludzi „zbędnych”. Udział mas pracujących w dochodzie narodowym obniżył się katastrofalnie: z 45% w roku 1938 spadł do 29% w roku 1951.

Wydatki na przygotowania wojenne, wynikające z udziału w agresywnym bloku atlantyckim, oraz „brudna wojna” w Vietnamie pochłaniają lwią część budżetu francuskiego. Sama wojna przeciw narodowi wietnamskiemu kosztuje skarb państwa 2 miliardy 200 milionów franków dziennie. Nic też dziwnego, że nad Francją zawisł złowrogi cień finansowego krachu.

Masy pracujące Francji stawiają energiczny opór antyludowej i antynarodowej polityce rządzącej reakcji. W całym kraju przybiera na sile akcja strajkowa; w jej toku wykruwa się jedność działania całej klasy robotniczej.

W obliczu widma katastrofy finansowej i rosnącego oporu mas klasie panującej coraz trudniej rządzić według zasad dogodnych dla warstw, wyprowadzających amerykańskiemu okupantowi wszystkie dobra Francji. Kryzysy rządowe stają się coraz częstszym zjawiskiem; ostatni z nich trwał 5 tygodni bijąc wszelkie rekordy długotrwałości. Nowy premier, Laniel — bogaty przemysłowiec, kontynuując antyludową politykę swych poprzedników usiłuje

przyspieszyć faszystację ustroju. Ogłoszony przez niego projekt „rewizji konstytucji” zamierza zapewnienie rządowi nadzwyczajne pełnomocnictwa, uprawniające go do wydawania ustaw bez zgody parlamentu, do pozbawiania posłów ich nietykalności oraz do rozwiązywania parlamentu według swego uznania. Cel tego jest jasny: chodzi o rozszerzenie kompetencji kapitalistycznego rządu „silnej ręki” kosztem wybranego w bezpośrednich wyborach przez sam lud parlamentu. Po raz pierwszy weszli do rządu przedstawiciele herzta partii faszystowskiej de Gaulle’a; jednemu z nich nawet zostanie powierzono opracowanie wniosku o tzw. „reformie konstytucji”.

Słowem, wisząca nad Francją groźba faszystu uwidacznia się coraz jaskrawiej. Zaprzeczana Waszyngtonowi rodzima reakcja pragnie stłumić we krwi wszelki opór przeciw polityce nędzy, wojny i zdrady narodowej.

Zrealizowaniu tych zbrodniczych zamysłów stoi na przeszkodzie naród francuski, który pod wodzą Komunistycznej Partii Francji coraz energiczniej walczy przeciw zamachowi na resztki swobod demokracji i przekształcaniu Francji w kolonię amerykańską. Naród francuski domaga się utworzenia demokratycznego rządu, gotowego bronić interesów ludu i przyczynić się do utrwalenia pokoju i przyjaźni między narodami.

Andrzej Szarski

RYSZARD KORN

MÓWI MŁODZIEŻ Z FRANCUSKICH WIOSEK

NIE najlepiej dzieje się obecnie na wsi francuskiej. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło silny odpyt ludności wiejskiej do miast. Wyłudniły się całe polacie kraju, w niektórych wsiach ilość mieszkańców zmalała w ciągu ostatniego półwiecza do jednej czwartej. Degradacja rolnictwa francuskiego spowodowana polityką rządów burżuazyjnych ciąży coraz dotkliwiej na życiu ekonomicznym i politycznym Francji.

Dlaczego tak się dzieje? Jak zaradzić zni? — Oto pytania, jakie postawiło postępowe nismo chłopie „La Terre” swym czytelnikom w ankiecie rozpisanej wśród młodzieży wiejskiej. Przytoczone wypowiedzi młodych chłopów i chłopek francuskich są wymownym wyrazem panujących wśród młodzieży nastrojów.

Oto co w odpowiedzi na ankietę

„La Terre” pisze Jean Le Canu ze wsi Lohuec w Bretanii:

„Jestem młodym rolnikiem, sym biednej Bretanii, gdzie bardzo ciężka praca przynosi nędzne plony.

Moja wioska pozbawiona jest dróg, żyjemy w nędznych budynkach, bez jakichkolwiek wygód i bez elektryczności. Cóż więc dziwnego, że młodzi uciekają do miast. Mieszkam w nędznym pokoiku, którego umeblowanie składa się z rozbitego łóżka pokrytego źle załatwym kocem, z krzesła z odłamanym oparciem, z szafy o drzwiach pogryzionych przez szczury, ze stołu na trzech nogach, wspartego dla równowagi drewnianym kłosem, gdzie nie ma umywalki, ani miednicy, ani dżbanu na wodę. Aby dostać się z mego pokoju do ustępu, trzeba przebyć sto pięćdziesiąt metrów.

Dodajmy do tego dwadzieścia kilometrów, aby dotrzeć do lekarza, 40 kilometrów, aby móc wykopać się

w łaźni, 8 kilometrów do najbliższego kiosku z tytoniem i z gazetami i 50 kilometrów, aby znaleźć księgarnię”.

Henri Pons ze wsi Mons koło O-radour (Środkowa Francja) pisze: „Mam siedemnaście lat i pracuję w gospodarstwie moich rodziców. Moja wioska liczy 12 gospodarstw. Położona jest w odległości paru kilometrów od miasteczka, do którego prowadzi droga znajdująca się w bardzo złym stanie.

Długie zimowe wieczory upływają monotonią na grze w karty lub na drobnych pracach, jak robienie moteli, koszy, czy słomianek. Nie ma mowy o dokształcaniu się, czy o korzystaniu ze swej młodości. Jest to również uniemożliwione przez zupełny brak stowarzyszeń kulturalnych i zrzeszeń sportowych. Po wojnie 50 procent młodych opuściło moją gminę, aby osiedlić się w mieście, gdzie wielu z nich jest obecnie bez pracy. Pozostali tutaj tylko ci, których rodzice posiadają ziemię i którzy nie mają przy tym licznego rodzeństwa. Chciałem się uczyć, ale brak mi na to środków, jestem więc zmuszony pozostać na wsi i pracować w gospodarstwie moich rodziców. Jest rzeczą pewną, że nasze położenie nie poprawi się, jak długo będziemy mieli rząd, który trwoni miliardy, aby przygotować naszą śmierć, zamiast użytkować je dla zapewnienia nam lepszej przyszłości.

Oto co pisze Alicja Jacquemoud ze wsi Cernex (Alpy):

„Jestem córką chłopów mieszkających w małej wiosce sabaudzkiej Cernex. Młode dziewczęta opuszczają w zaważającą szkołę podstawową w 14 roku życia, po czym zostają na gospodarstwie. Niektóre opuszczają szkołę wcześniej, gdyż są potrzebne rodzicom przy pracy. Ich położenie jest gorsze od położenia chłopów, gdyż poza pracą w polu i obrze mają jeszcze obowiązki związane z gospodarstwem domowym. Dziewczęta wykonują najcięższe prace, nieraz przekraczające ich siły, ale trudno, aby było inaczej. Dochody z gospodarstwa nie wystarczają na zakup nowoczesnych narzędzi, tak że trzeba je zastąpić rękami. O rozrywkach — szkoda nawet mówić. To rano dotyczy nauki i czytelnictwa, gdyż we wsi nie ma ani biblioteki, ani świetlicy, ani kina.

Większość tych, które opuściły wieś, pracując obecnie w mieście jako służące. / Oto jak żyją dziewczęta z Cernex. Po to, aby młodzi z chłopstwa mogli się wreszcie uczyć i znaleźć godziwą rozrywkę, aby dziewczęta wiejskie mogły znaleźć radość młodości i nadzieję na lepsze, szczęśliwsze życie, trzeba aby we Francji doszli do władzy ludzie, którzy na ten cel zechcą „osiągnąć” miliardowe fundusze marnotrawione dotąd na przygotowania wojenne.

Albert Rolland

Ryszard Korn



Medyczna i Prawnicza oraz Instytut Nauk Społeczno - Ekonomicznych, którzy szkolili kadry dla administracji państwowej. Zainstalowany w dżungli uniwersytet posiada więcej studentów niż uniwersytet w okupowanym mieście Hanoi.

Po raz pierwszy w historii Vietnamu nauka przestała być monopolu klasy malarzynów. Szeroko udostępniono dostęp do wiedzy dzieciom robotników i chłopów. Francuski postępowy dziennikarz Leo Figueres, który w 1950 r. odwiedził liceum techniczne na terenie wyzwolonym, stwierdził, że na 80 uczniów 70 było dziećmi robotników i chłopów. Do szkół wyższych i średnich kieruje się wraz z absolwentami odpowiednich szkół niższego

stopnia również najzdolniejszych robotników z zakładów pracy lub utalentowanych żołnierzy i oficerów z jednostek wojskowych.

*

Naród wietnamski w nader ciężkich warunkach walczy o wolność i niepodległość swego kraju. Jest on odcięty od dużych miast i portów swego kraju, znajdujących się jeszcze pod okupacją imperializmu. Nie bacząc jednak na wszystkie trudności Ludowo - Demokratyczna Republika Vietnamu może się poszczycić ogromnymi osiągnięciami, które świadczą, o czego zdolny jest naród, którego energia twórcza została wyzwolona z pęt imperializmu.

KONKURS DLA WSI

«Dziś i wczoraj wsi polskiej — w samorodnej wórczości plastycznej chłopów»

¹ Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej organizuje przy współpracy: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Związku Młodzieży Polskiej, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Ra-

dzieckiej i Związku Polskich Artystów Plastyków — ogólnopolski konkurs dla wsi pod hasłem „Dziś i wczoraj wsi polskiej w samorodnej wórczości plastycznej chłopów”.

CELEM KONKURSU JEST:

1. skierowanie zainteresowań artystycznych wiejskich amatorów plastyków na tematykę odzwierciedlającą przemiany społeczne, gospodarcze i kulturalne na wsi oraz związane z twórczością z zadaniami przebudowy wsi;
2. popieranie samorodnej twórczości artystycznej na wsi w dziedzinie plastyki oraz pomoc wybitnie uzdolnionym przez ich skierowanie do odpowiednich szkół plastycznych;
3. uzyskanie materiału dokumentarnego i artystycznego, przedstawiającego wieś przedwojenną, w okresie wojny i po wyzwoleniu;
4. zainteresowanie plastyków zawodowych współczesną samorodną twórczością wiejską celem wzbogacenia ich twórczości.

TEMATYKA KONKURSU.

Pod względem tematycznym konkurs obejmuje cztery działy:

Dział I: — przemiany społeczne, gospodarcze i kulturalne na wsi po wyzwoleniu.

WARUNKI

W konkursie mogą brać udział wszyscy mieszkający wsi zarówno młodzież, jak i starsi spółdzielcy oraz robotnicy Państwowych Gospodarstw Rolnych, którzy obok swej pracy zawodowej uprawiają amatorsko sztuki plastyczne.

W konkursie mogą również wziąć udział wiejscy słuchacze ognisk kultury plastycznej.

Uczestnik konkursu może nadesłać dowolną ilość prac w dowolnym formacie i wykonanych dowolną techniką. Mogą to być rysunki wykonane ołówkiem, węglem, kredką, piórem lub piędzlem, prace wykonane farbami wodnymi (tzw. akwarelami) i olejnymi, obrazy na szkle, drzeworyty, wycinanki i malowanki, inne rzeźby i płaskorzeźby w drzewie, glinie, kamieniu, węglu i metalu.

NAGRODY

Przewiduje się przyznawanie 3-stopniowych nagród indywidualnych i zespołowych. Nagrody indywidualne będą przyznawane w formie premii pieniężnych za prace najlepiej opatrzone tematycznie i artystycznie; nagrody zespołowe w formie rzeczowej za serie prac wykonanych kolektywnie.

Nagrody te będą własnością zwycięzcy lub zespołu.

Nagroda zespołowa nie odbiera prawa do uzyskania nagrody indywidualnej.

Przewiduje się również nagrody pocieszenia dla uzdolnionych uczestników konkursu, których prace nie zostaną zakwalifikowane do nagrody pieniężnej.

Przykładowa tematyka

Przemiany na wsi

Spójnia gospodarcza wsi z miastem w oparciu o sojusz robotniczo-chłopski.

Lukwidacja obszarnictwa — reforma rolna.

Wysiek klasy robotniczej w zaopatrzeniu na wsi.

Działalność gminnych spółdzielni ZSCh.

Wywiązywanie się gromad z obowiązków dostaw produktów rolnych i hodowlanych (podstaw zboża, ziemniaków, roślin przemysłowych, żywności, mięsa i jaj do punktu skupienia, ziemi itp.).

Podjęcie zobowiązań produkcyjnych.

Rola PZPR, ZSL, Rad Narodowych, Zw. ZSCh, Kola Gospodni, ZMP, świetlic w życiu gromady, w walce o podniesienie produkcji o terminowe przeprowadzenie prac rolnych, organizacja pomocy sąsiedzkiej; wspólne akcje gromady przy naprawie dróg, mostów, melioracji, w walce ze szkodliwymi zwierzętami itp.).

Plan 6-letni zmienia oblicze wsi (praca czeka na człowieka; młodzież wiejska uczy się nowych zawodów; młodzież wiejska na budowlach socjalizmu — przy budowie Nowej Huty itp.).

Braterskie więzy wsi z odrodzonym ludowym Wojskiem Polskim.

Klasa robotnicza daje przykład, jak walczyć o zwycięskie wykonanie planów produkcyjnych. Wycieczki chłopów do zakładów przemysłowych. Spotkania z robotnikami.

Obrazki z życia spółdzielni produkcyjnej. Rola POM w zmechanizowaniu uprawy. Mechanizacja sprzętu i młocka. Brygady polowe w pracy. Wzrost dobrobytu spółdzielców.

Opieka nad matką i dzieckiem (w złości i przedświecie).

Współzawodnictwo pracy w rolnictwie. Zobowiązania młodzieżowe. Praca i życie w Państwowym Gospodarstwie Rolnym (warunki pracy, osiągnięcia; ryunki, ilustrujące życie robotników rolnych PGR; rysunki wspomnieliśmy z życia i pracy tych samych robotników w majątku).

Korzystanie z radzieckich doświadczeń w rolnictwie. — Praca kółka mizuryniowego (na polsku doświadczenia w chacie - laboratorium).

Wspomnienia z wycieczki do Związku Radzieckiego (w gościnie u koleżanek i radzieckich: o zilustrowanie tego tematu może się pokusić nie tylko uczestnik wycieczki, lecz każdy, kto miał sposobność usłyszeć z ust naocznego świadka o osiągnięciach radzieckiego rolnictwa).

Państwo Ludowe zapewnia chłopom dostęp do oświaty i udziału w tworzeniu kultury narodowej.

Zwalczanie analfabetyzmu w gromadzie.

Młodzież wiejska w nowej szkole. — Praca w świetlicy lub kole samokształceniowym, upowszechnienie wiedzy rolniczej, konkursy czytelnicze. — Zespół redakcyjny gazetki gromadzkiej przy pracy. — Zespół

Mogą to być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.

Można być hafty, koronki, kilimy wyrażające tematykę wyszczególnioną w warunkach konkursu.

Obok uczestników indywidualnych w konkursie mogą wziąć udział również kilkusetosobowe zespoły świetlicowe, które przygotowują wspólne serie prac możliwie powiązanych tematycznie.

Uczestnicy konkursu przesyłają swoje prace bezpośrednio do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej, Wydział Oświaty i Kultury, Warszawa, Plac Siaranki 1, lub do najbliższego zarządu powiatowego ZSCh. Na przyszłość i kopercie należy uwidocznić napis:

„Ogólnopolski konkurs — „Dziś i wczoraj wsi polskiej”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1953 r.

Dział II: — wieś w ustroju kapitalistycznym.

Dział III: — wieś w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej.

Dział IV: — tematyka dowolna.



KAZIMIERZ PIETKIEWICZ

W ZWIĄZKU Z KONKURSEM

DZIESIĘCIOLETNI okres rozwoju sztuki ludowej, okres, w którym przypada jej zaszczytna rola reprezentowania kultury polskiej, domagał się zamknięcia i podsumowania przebiegu już etapu. Dlatego Związek Samopomocy Chłopskiej, ogłoszyny w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki ogólnopolski konkurs dla wsi pod hasłem: „Dziś i wczoraj wsi polskiej w samorodnej wórczości plastycznej chłopów” umożliwił obliczenie jej dorobku.

Podsumowując 9-letni okres pracy w dziedzinie sztuki ludowej, widzimy wielkie przemiany. Są one widoczne przede wszystkim w sztuce wyobraźniowej, a więc w malarstwie, w rzeźbie, w tematyce i w sposobie wyrażania. Te trzy dziedziny sztuki najbardziej związane są z problematyką współczesnego życia wsi, jak przebudowa gospodarki wiejskiej, walka o pokój i inne. Malarstwo na szkle — podhalasie czy zalipiasie — jest nie tylko odbiciem przemian, które dokonują się w tych ośrodkach; sięga ono nawet do historii społecznych ruchów chłopów. Bohaterskie postacie Koski Napierskiej i Janosika Nędy-Litmanowskiego ożyły w pięknej sztuce malarzy Kozłowskiej, przypominając młodszemu pokoleniu wspaniałe zrywy przodków.

Bardzo żywo i w sposób artystycznie dojrzały reagują na problem nurtujący wieś polską i cały kraj — autorki barwnych wycinanek łowickich, kurpiowskich czy kaszubskich.

W rzeźbie ludowej nastąpił wyraźny przełom; w przeszłości była ona całkowicie zżyta z wierzeniami religijnymi lub przedstawiała tematy biologiczne. Obecnie ludowi rzeźbiarze chwytają życie na gorąco. Rzeźbią oni nowych ludzi, nieznane im dotąd maszyny, pragnąc w swoich rzeźbach oddać obraz otaczające ich od lat kilku nowe życie.

Za tymi dziedzinami sztuki ludowej podążają inne: nawet w tak trudnej do podporządkowania treści technice, jakiej wymaga tkactwo, można dostrzec tendencję do związania się z życiem. Przejawia się tu wyraźna dążność do wzrostu poziomu artystycznego i pragnienie artystów do wypełnienia określonej funkcji społecznej.

Rezultat pracy artysty zależy od szczerości jego przeżycia, od jego dojrzałości społecznej i politycznej.

Organizacje masowe i świetlice poświęcają w terenie wychowaniu twórcy ludowego zbyt mało uwagi. Można by przytoczyć niemało faktów, świadczących, że utalentowany

twórca ludowy na swoim terenie długo pozostawał w cieniu, że nie otrzymywał pomocy zarówno materialnej, jak ideologicznej i wychowawczej.

Omawiany tu konkurs będzie miał dla twórczości plastycznej wsi ogromne znaczenie, gdy terenowi aktywi ZSCh, ZMP i świetlice nie przestaną do końca szeroko propagować i omawiać z twórcami ludowymi jego doniosłości.

Terenowi aktywi kulturalni powinni usilnie dążyć do tego, by ludowi plastycy wzięli czynny udział w konkursie, żeby dali z siebie więcej, żeby godnie reprezentowali swój teren.

Od chwili ogłoszenia konkursu minęło pół roku; do zakończenia pozostaje więc zaledwie cztery miesiące. Najwcześniejszym czasem, aby ogłosić terenowe ZSCh, ZMP i świetlice skoncentrowały na konkursie swą uwagę, dotarły do wszystkich, którzy w jakiegokolwiek zakresie artystycznej mogą w nim wziąć udział, omówiły z nimi warunki, zainteresowały się postępowaniem pracy artystycznej twórców i tematami tej pracy oraz zachęciły odcinających się — do udziału w konkursie.

Ze specjalnym apelem wracamy się do świetlic położonych w szczególnie ożywionym terenie plastycznym. Świetlice te powinny: zorganizować dla zainteresowanych specjalne pogadanki na temat konkursu, zasygnalizować odnośnym czynnikom potrzeby materialne twórców przygotowujących prace i pomóc w uzyskaniu pomocy.

Uchwalił I Ogólnopolski Zjazd Produkcji Kierowników Świetlic zalecając, roztaczanie opieki nad talentami plastycznymi wsi i włączanie ich działalności artystycznej w nurt życia świetlicowego, powinni się przejawiać w praktycznej działalności świetlic na odcinku konkursu.

Apelujemy również do spółdzielni CPLA, aby zachęcały twórców ludowych, zrzeszonych w spółdzielniach, do wzięcia udziału w konkursie.

Przypominamy twórcom ludowym, że poziom sztuki ludowej będzie ich dziełem. Oni pięknie i głęboko ideowość zdecydowały o samej swojej aktywności i zrozumieniem roli, jaką spełniają w tworzącym się nowym społeczeństwie.

Po okresie wyjątkowej pracy przedkonkursowej, wystawa sztuki ludowej na 10-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, może stać się wspaniałym obrazem dorobku Polski odrodzonej i jej bujnie rozwijającej się sztuki ludowej.

Kazimierz Pietkiewicz

WOJCIECH DRYGAS

DWIE BRYGADY

— Co tam?

— Telefon! — wymamrotał pod nosem księgowy Kiszka.

Wemborek podjął słuchawkę.

— He? — huknął w mikrofon, a po chwili jeszcze mocniej i bardziej stanowczym tonem: — A ja ci powiadam, Heniek, nie bądź taki przemadzać! Rób swoje, a do mojej brygady się nie wtrącaj! Rozumiesz?

Wiele wzburzonego skierował się w stronę drzwi. Na progu zatrzymał go księgowy:

— Synek?

— A tak, syn...

— Co tam, nowego?

Przemilczając dyplomatycznie owe „stowa”, te „stowa” które oderwały ucho od dżana, Wemborek odparł na pozór spokojnie:

— Ii nic... Cóż by tam mogło być? Tyle powiedział, że skończą do szóstej i pytał jak u nas...

— Tak, tak... — zachichotał trochę drwiąco. — Niezły się spisyje ten wasz syn. Nie chce być złym prorokiem, panie Wemborek, ale do szóstej nie dacie mu rady. Już ja wam to mówię...

Stary brygadysta skrzywił się kłusko i opuścił kancelarię bez odpowiedzi. Był piekielnie zły! Z takim samym pośpiechem udał się do swojej brygady, spożywającej obiad pod rozłożystymi klonami w parku. Po drodze zajął do notesa.

Mieli do wykoszenia jeszcze sporo szmat łąki, coś ze dwadzieścia hektarów, a tymczasem nie bardzo było czym kosić. Wprawdzie przydzielono im cztery kostarki, ale po ciech z nich było niewiele. Wczoraj przez całą godzinę zmieniali jakiś złamany tryb, dzisiaj, w pobliżu „piekiełka” — tak nazywano szereż na kilka metrów rozpadnięty po wyschniętym strumieniu — stała druga maszyna.

Sytuacja u Henka, syna Wemborka i brygadysty polowego w sąsiednim pegeerze, była daleko lepsza. Co prawda posiadał on do swej dyspozycji także tylko cztery kostarki mechaniczne, lecz były to maszyny zupełnie nowe, cięty trawę jak brzoza.

— Łatwo ci się śmiać, Milczarek! A ten lot, kiedyś z nim rozmawiał przez telefon, powiedział mi takie słowa... takie piekielne słowa, że szkoda gadać...

— Co to za słowa?

— Ech, to nie na wynos! Rozumiesz, takie familijne sprawy.

Zapanowało znów dłuższe milczenie i naraz Wemborkowi błysnęła myśl. Poderwał się jak oparzony:

— A te nowe maszyny co je nam wczoraj przysłał?

— Które to? — podniósł głowę Was.

— Ano, te trójczłonowe radzieckie...

— Trzeba je napierw zmontować — wtrącił Milczarek — To potrwa...

— Wielka mi mądrość — przetrząsnął okulary mechanik Susel. — Odbijemy opakowanie, złożymy do kupi i... hajda w pole.

— Ale tutaj nastąpiły nieprzewidywalne trudności. Pomysł wykorzystania do akcji nowobocznych kosiarzek radzieckich napotkał ostry sprzeciw ze strony księgowego Kiszki.

— Już ja was znam... — skrzeczał łamiącym się głosem. — Kierownik i sekretarz organizacji partyjnej na

odprawie w okręgu — to myszy zaczynają tancować. Ale na szczęście ja tu jeszcze czuwam, ja tu jestem odpowiedzialny i ja tu jestem postawiony. U mnie żadne przejawy samowoli nie przejdą. Nie, moi drodzy! Bez instrukcji kosiarzek nie puszczać. Trzeba czekać na instrukcje. Jasne?

Tu Wemborek nie wytrzymał:

— A jak te instrukcje przyjdą dopiero po sianokosach? To co będzie? Co?

— Nie mówię tego wszystkiego tak tylko, byle mówić, panie Wemborek, ale naprawdę nie można... nie można! Mądry człowiek to rozumie... Przecież wszystko trzeba komisynie i